









Egz. archiwalny IBL

ADOLF RIESSLER

# Dar Helijogabala.







HAJOTA.



HAJOTA.

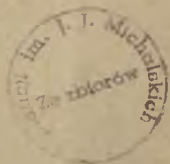
DAR  
HELIJOGABALA

INSTYTUT  
DARŃ HEBRACKICH PA

Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-240 Warszawa  
tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



KIJÓW, 1911.  
LEON IDZIKOWSKI.  
<http://rcin.org.pl>



1040

## I.

Babcia była skąpą...

Tego zdania o niej był jej własny syn pan Antoni, choć się do tego przed nikim nie przyznawał; tego zdania była pani Antoniowa i objawiała je przy każdej sposobności; tego zdania była służba w domu państwa Antoniostwa i stanowiło ono ulubiony przedmiot kuchennych pogadanek; tego zdania byłaby zapewne Tenia, jedynaczka państwa Antoniostwa, gdyby nie ta okoliczność, że Tenia jako starannie wychowana panienka, nie miała jeszcze żadnego o niczem zdania.

Zresztą skąpstwo babci było nieuchwytnie.

Można powiedzieć, że zamiast objawiać się w faktach, tworzyło dokoła jej

osoby rodzaj atmosfery sugestywującej w ten sposób otoczenie.

Do faktów brakowało poniekąd sposobności i materiału.

Naprzód babcia, przez całe swoje siedemdziesięcioletnie życie nie miała z czego być skąpą.

Jako żona skromnego urzędnika jakiejś prywatnej instytucji wiodła zwykłą, szarą, marną egzystencję zatroskanych kobiet, których jedynym ideałem jest, aby „pensya“ starczyła od pierwszego do pierwszego, a cała gimnastyka mózgu polega na lawirowaniu wśród powodzi groszowych wydatków.

Że nazywały ją wówczas „skąpą“ domowe popychadła za trzy ruble na miesiąc, którym odliczała kawałki węgla do gotowania i ważyła mięso przed włożeniem do garnka i po wyjęciu z niego, temu nie można się było dziwić, ale że tym samym przydomkiem darzył ją gospodarz domu, któremu jedynie dzięki tyłu im podobnych, tragicznych w swej trywialności oszczędnościom, płaciła regu-

larnie komorne, to już było całkowicie niesprawiedliwe i chyba tylko owej specyficznej atmosferze przypisać się dające.

Była jednak babcia o tyle szczęśliwszą od wielu takich jak ona katorżnic bytu, liczących węgle i odważających mięso, że nie „pozostała wdową z drobniemi dziećmi bez żadnych środków“, lecz straciła dozgonnego żywiciela właśnie wtedy, gdy jedyny syn Antoni, skończywszy prawny wydział, zaczął pracować jako dependent u jednego z najlepszych adwokatów i mógł przyjąć na swe młode barki ciężar utrzymania matki.

Z początku był to tylko dalszy ciąg tragedyi węgla i mięsa, z tą różnicą, że reżyserowanej nie za męzowskie lecz za synowskie pieniądze, z czasem jednak warunki polepszyły się, aż gdy pan Antoni sam z kolei rzeczy został jednym z najlepszych adwokatów i miał własnych dependentów (utrzymujących matki wdowy), życie babci ułożyło się zupełnie wygodnie a nawet dostatnio.

Miała ładny, duży pokój, zastawiony

ładnymi sprzętami, które syn ofiarowywał jej to na gwiazdkę, to na imieniny, to na urodziny (swoje własne, jako wzajemnienie za cenny podarunek życia), nosiła ładne suknie i czepeczki, które znowu kupowała jej synowa przy podobnych okolicznościach, jadła smacznie i obficie z nieograniczonym kredytem doktora i apteki.

Wszystko to! jednak razem wzięte nie dawało pola zarówno do rozrzutności jak do skąpstwa.

Babcia bardzo często lubiła powtarzać:

— Ja nic nie mam. To wszystko wasze!

Syn i synowa protestowali:

— Ależ moja mamo!... Mama jest panią u siebie, my u siebie.

Babcia się upierała:

— Nie! Nie! Bardzo to pocziwie z waszej strony tak mówić. Ale prawda jest prawdą. Wszystko to wasze. Ja nic nie mam.

I miała rację.

To jest — byłaby miała rację, gdyby nie... korale!

Ach! tak. Korale!

Tu leżał pogrzebany pies.

To była Achillesowa pięta.

Te korale.

Ten zbytkowny, magnacki strój za-  
błąkany trafem w ubogą urzędniczą sie-  
dzibę i strzeżony w niej zazdrośnie z  
namiętne przywiązaniem natury, bałwo-  
chwalczo w tajnikach swoich czczącej  
bogactwo, a skazanej na przymusowy  
szacunek dla kopiejek!

Te korale przetykały wąską, szarą  
wstążką życie babci jaskrawemi jak one  
plamami wydarzeń, w których jak w roz-  
darciu błyskawicy ujawniało się rzeczy-  
wiste tło duszy tej kobiety, ukryte zawsze  
starannie za bezbarwnym obłokiem co-  
dziennej rutyny.

One sprawiły, że mąż babci, biedny  
astmatyk, umarł wcześniej i w większych  
cierpieniach niż mógł i że ostatnie jego  
spojrzenie było spojrzeniem tragicznego  
wyrzutu, który niewypowiedziany zabrał

z sobą do trumny; one sprawiły, że syn myślał nieraz z goryczą o matce, a to, co dla niej czynił, czynił z poczucia obowiązku bez słodkiego przekonania serca; one wreszcie sprawiły, że synowa—dobra, wesola kobieta,—pod pozorami serdeczności, żywiła ku niej głęboką urazę i niechęć.

A babcia tego wszystkiego nie domyślała się nawet i była by w najwyższym stopniu zdumioną i oburzoną, gdyby jej kto był powiedział, że te korale stały murem chłodu i żalu pomiędzy nią a najbliższymi istotami, że one pogasiły wszystkie słoneczne promienie, jakie mogły były ogrzać jej wyjałowione szaryzną życia serce.

A jednak tak było.

To był jej dar Helijogabala i jak większość obdarzonych w ten sposób, pozostała na zawsze nieświadomą jego klątwy.

Przeciwnie; wierzyła święcie, że ten chrzestny podarunek bogatej, bezdzietnej hrabiny—dalekiej krewnej i dobrodziejki



jej rodziców — był jednym z najpomyślniejszych wypadków jej życia.

I na pozór miała słuszność.

Takie przepyszne, kosztowne klejnoty! Jak jej ich wszystkie przyjaciółki i kuzynki zazdrościły!

To samo już było coś warte.

I takie śliczne!

Babcia patrzyła na nie przez tyle lat i nigdy im się dość napatrzeć nie mogła.

Miały tylko tę wadę, że były za piękne, za wspaniałe, że aż nie do noszenia.

Bo gdzie i kiedy ubogiej panience a potem żonie skromnego urzędnika ustroić się było w te ogromne kamee rżnięte delikatnie w cudnym, różowym jak listek centofolii koralu, koronkową złotą robotą kunsztownie brzerzone.

Jeszcze kolczyki i brosza — te kładła czasem na wielkie uroczystości — ale ten naszyjnik z wisiorami, ten pas z pendentem, ten strój na głowę i te naramienniki?

To było stosowne tylko na bogate salony, otwierane przez uliberyowanych lokai; stosowne do aksamitów, wleczonych

---

---

po dywanach z szelestem jedwabnej podszewki; stosowne do drogich koronek przejrzystą mgłą otulających obnażony gors i ramiona.

Ale na te herbatki z szynką i placikiem po 25 kop. funt; na te wieczorki z niewidomym grajkiem, cielęcina na gorąco i krymskiem winem, obliczonem po kieliszku na osobę!

Nie! nie!

Ona miała poczucie taktu i rozumiała, że ośmieszyła by siebie i przygniotła swoje otoczenie zjawiając się w swych tanich, z lekkiej wełny sukienkach, wśród tych tanich mieszkań, obciążona temi magnackimi klejnotami.

Więc nie nosiła ich nigdy.

Czasem tylko, za młodych lat, gdy była zupełnie samą w domu, i gdy ją napadła jedna z tych nieokreślonych tęsknot za jakimś innym, zupełnie innym życiem i pełne bezbrzeżnego buntu zniechęcenie do męża, że tak mało zarabiał, do sługi, że tak mało umiała, do dziecka nawet, że tyle wymagało zachodu, cza-

sem wtedy zamykała się na klucz i do-  
bywała z komody głęboko pod bielizną  
schowane staroświeckie puzdro.

W puzdrze tem, o wyłysiałym, safia-  
nowym, niegdyś ponsowym wierzchu, na  
pożółkłym ze starości atlasie spoczywały  
korale.

Młoda kobieta chłoneła je oczyma,  
które coraz silniejszym płonęły blaskiem,  
usta jej rozchyłały się, cała twarz nabic-  
rała dziwnego, wprost przeobrażającego  
ją wyrazu.

Nie była ona nigdy ładną; miała zmię-  
te pospolite rysy, szerokie policzki i  
małe, źle opravne oczy; jedyną jej pięk-  
nością były długie, bujne, kasztanowate  
włosy i ciało przesłiczne, różowe, gładkie,  
jak najcudniejszy atlas, o delikatnych,  
smukłych linjach florentyńskiej rzeźby.

I stawała się wtedy rzecz nadzwyy-  
czajna.

Oto ta porządna, uczciwa żona, ta po-  
spolita kobieta, wychowana w przeciętnej  
mieszcząńskiej wstydlivości i do gruntu  
nią przejęta; ta istota szara, bez krzty

artyzmu, w swej zachwaszczonej powsze-  
dniością duszy, zrzucała nagle swoje per-  
kale i barchany, zrzucała je giestem  
obrzydzenia, giestem kurtyzany, drapo-  
wała na biodrach lekki, indyjski szal —  
drugą pamiątkę po matce chrzestnej hra-  
binie — rozpuszczała włosy, i biorąc do  
ręki jedną po drugiej koralowe ozdoby,  
poczynała się w nie stroić.

Pod drobnemi, krągłemi piersiami,  
których jednorazowe macierzyństwo nie  
popsuło, zapinała dziwnie pięknej roboty  
pas, pas o złotem filigranowem tle, zaró-  
żowionem rzędem kamei rosnących od  
środku pleców ku przodowi aż po wielką  
jak dłoń klamrę; na białą, długą szyję  
kładała kolję, z której na jej atłasowe ciało  
dwoma rzędami ściekały delikatne profile,  
jak krople bladej krwi, zastygłej w arty-  
styczny kształt; przyciskała gęste pukle  
włosów dyademem takich samych profi-  
łów, tylko jakby dumnych i z góry, po  
królewsku na świat patrzących; zawieszała  
w uszach kolczyki, dwa arcydzieła sfink-  
sowo zadumanych twarzyczek, i swe

---

---

smukłe ramiona leśnej nimfy okuwała w szerokie bransolety.

Wtedy stawała przed lustrem i zmieniona do nieopisania, długo, żarłocznie wpatrywała się w te dwa bogactwa, zarówno jej niepotrzebne, zarówno na wieczne ukrycie skazane: w tę swoją nagość królewską i te królewskie klejnoty!

Czuła się piękną, godną podziwiania; szalona żądza użycia, rozkoszy, panowania, zalewała jej mózg gorącą falą.

Och! gdyby w takiej chwili jakaś dłoń namiętna, a pobrzękująca złotem, dłoń bez skrupułów; jedna z tych, do których należy świat, wyciągnęła się była do niej, jakżeby poszła za nią, bez wahania, bez żalu, nie obejrzawszy się nawet za tem wszystkim, coby za sobą zostawiła!

Och! żyć! żyć! błyszczyć, rzucać złoto garściami, dawać i odbierać pocałunki, i stroić się, stroić, stroić!..

Dzieło upadku dokonywało się mocą pragnienia i ona, na której życiu faktycznym nie było najłżejszej skazy, wracała

do rzeczywistości bardziej splugawiona niż ostatnia nierządnicą.

Pozornie jednak wracała do niej zwycięsko — w braku tej dłoni kuszącej — i w godzinę potem korale systematycznie poukładane w puzdrze leżały pod białizną na dnie komody, a ona sama zapięta pod brodę w kretonowy lub barchanowy kołnierzyk kaftanika, obliczała zawartość cukierniczki lub zrzędziła na służkę, że o jedną marchewkę za dużo włożyła do rosółu.

Zresztą, w miarę jak lata szły, a piękne jej ciało zaczęło chudnąć i żółknąć, chwile takie trafiały się coraz rzadziej, aż wreszcie przestały się trafiać zupełnie, jakby ich nigdy nie było.

Zato przychodziły inne, równie, choć inaczej znamienne.

A naprzód mąż, zawsze wąły i niedomagający, z każdym rokiem bardziej podupadał na zdrowiu.

Nikt nie mógł powiedzieć, żeby w tem było cośkolwiek winy żony.

Wprost przeciwnie. Dbała o niego więcej niż o siebie samą.

Przy obiedzie wybierała dla niego najpożywniejsze kąski, oszczędzała na własnej garderobie, byle tylko miał zawsze całe kalosze, ciepłe palto i w porę wykupione z lombardu futro.

Wiedziała przecież, że nic mu tak nie szkodziło jak zaziębienie, a każde zaziębienie pociągało za sobą wydatek.

Mimo jednak tej praktycznej troskliwości, utajona w organizmie choroba czyniła postępy, aż doszła do tego, że doktor jako jedyny ratunek radził zupełne zaprzestanie pracy przynajmniej na pół roku, i wyjazd gdzieś na południe, w góry, nad morze...

Nie łudził swego pacyenta nadzieją zupełnego wyzdrowienia, ale obiecywał znakomitą ulgę w cierpieniach, przedłużenie życia.

Biedny astmatyk słuchał rad tych ciężko dysząc, a blade jego usta roztwierał dziwny uśmiech, jakby przysypany

kurzem tego biurowego powietrza, którym przez lat tyle oddychał.

I żona, obecna konsultacyi, słuchała także, milcząca, obojętna, jak się słucha opowiadań o dalekich planetach, lub przewidywanych za lat sto wypadkach.

Urlop na pół roku! Wyjazd za granicę!

Ten doktor był naprawdę śmieszny, a już zupełnie bezczelny, że za taką poradę miał odwagę wziąć dwa ruble to jest pięćdziesiątą część miesięcznej pensyi męża.

Szkoda że odrazu nie poradził im aby sobie kupili wioskę za miastem z ogrodem, a także powóz i konie, gdy powrócą z zagranicy. To było jednakowo wykonalne.

Po odejściu doktora małżonkowie długo milczeli.

Wtem on westchnął ciężko i rzekł:

— Ha! trudno. Trzeba się wybierać na tamten świat.

Ona, bardzo zgnębiona, lecz bezradna, próbowała go pocieszać.



— Tylko się nie martw. Doktorzy lubią przesadzać. Teraz będziesz zażywał te proszki, które ci przepisał, a latem pojedziesz na wieś, na całe sześć tygodni. Na wsi tak się zawsze dobrze czuleś!

Wstrząsnął smutnie głową.

— Nie! nie! Mnie już wieś nie pomoże. Tak.. słońce, ciepły klimat... dużo słońca... tak; sam to czuję!

Westchnął znów; zamyslił się i po długiej chwili dodał:

— Ciekawym, coby taki pobyt przez pół roku za granicą kosztował?

Nie odpowiedziała mu nic. Miała dosyć kłopotów nieuniknionych, żeby sobie jeszcze głowę zbytecznie zaprzętać.

Ale on sobie widocznie zaprzętał, bo w parę dni potem, gdy odpoczywał po przykrym ataku krztuszenia rzekł nagle:

— Wiesz, rozpytywałem się kolegów, którzy byli we Włoszech. Powiadają, że tam tanio, że możnaby taki półroczny wyjazd tysiącem kilkaset rubli opędzić. Oczywiście licząc na dwoje. Bo jabym bez ciebie nie pojechał.

Ruszyła tylko ramionami.

Biedak! Co mu się roilo!

I z kądże by wzięli te tysiąc kilkaset rubli, oni, którzy przez dwadzieścia parę lat pożycia nie mogli uskładać ani jednej setki? A syn! na trzecim kursie prawa! A mieszkanie; które byłoby trzeba zostawić.

On, niezrażony jej milczeniem śnił w dalszym ciągu.

— Urlop by mi dali... to wiem. Za tyle lat służby! Antoś ma parę korepetycyi... Ja bym mu z pensyi dawał z jakie pięćdziesiąt rubli miesięcznie na zapłacenie mieszkania, służbę i życie, to byłoby dosyć... jak myślisz?

Milczenie.

— Dla nas zostawałoby tym sposobem drugie pięćdziesiąt... Trzysta rubli przez pół roku... Chodzi tylko o to, żeby skąd dostać jakie tysiąc dwieście rubli... Takbym pragnął jeszcze pożyć. Tak ciężko was samych zostawiać... Może tysiąc by wystarczył... Przy oszczędności...

Nie mogła już wytrzymać. Ten chory człowiek stanowczo bredził.

— Zapewne—rzekła hamując rozdrażnienie —zapewne. Chodzi tylko o tę drobnostkę. Może jutro, pojutrze, idąc do biura znajdziesz na ulicy...

Popatrzył na nią. Otworzył usta raz i drugi.

Widocznem było, że ma coś na myśli, że chce coś powiedzieć. Lecz zabrakło mu odwagi i zamilkł.

I znów upłynęło dni kilka.

A owo „coś“ nurtowało w nim ciągle, dręcząc go na równi z kaszlem i atakami duszenia.

Słowa doktora otworzyły w jego duszy jakieś okno, przez które biedny skazaniec chodzący dotąd cierpliwie w kieracie niewzruszonych obowiązków wyjrzał po raz pierwszy w świat osobistego pożądanego...

I było to tak silne i olśniewające, że nakoniec... odważył się.

— Kaziu—rzekł jednego wieczora do żony, cichym, ale zdecydowanym głosem

sem—pamiętasz na ile to oceniano twoje korale?

Podniosła głowę. Oczy jej błysnęły, jak zawsze, gdy myślała lub mówiła o swoim skarbie.

— O!—rzekła, daleka od wszelkich przypuszczeń—na amatora warte są ze dwa tysiące rubli, może więcej. To mi już kilku jubilerów mówiło. Takie antyki! Z każdym rokiem idą w cenę.

Mąż stanął przed nią, ziemnisto-blady, chudy, chrapliwie dyszący; widmo sterczące w mozołę o ten suchy kawałek chleba, który społem przez lat dwadzieścia kilka jedli.

— A gdyby... — wymówił, jakimś sztucznym, jakby nie swoim głosem -- a gdyby je zastawić?

Porwała się z miejsca i zmierzyła go oczyma.

Och! choćby mu było danem żyć jeszcze lat sto i dwieście nie zapomnialby nigdy tego spojrzenia.

Było w niem wszystko. Wszystko złe, okrutne, nieubłagane, nienawistne, wszy-

stko, co oczy kobiety zagrożonej w swem samolubnem umiłowaniu ujawnić mogą.

Gdyby jej zaproponował, by wyskoczyła oknem na ulicę, lub poszła handlować sobą wieczorami po zaułkach, lub poprostu okradła kogoś, nie mogłaby spojrzeć na niego inaczej.

— Zastawić!—wykrzyknęła sycząco—zastawić! Moje korale! A za cóż byś ty je kiedy wykupił? To już lepiej odrazu powiedz żeby je sprzedać! Zawołać żyda i sprzedać!.. Jak stary łachman... Moje korale!...

Było tyle żywiołowego buntu, oburzenia w jej głosie i twarzy, że jak każda żywiołowa rzecz ślepą swoją siłą obezwładniła go.

Cofnął się, pochylił głowę, jak winowajca.

A ona, po raz pierwszy w życiu rozpętana wobec niego, krzyczała:

— I to ty! mój mąż'... Ty masz czoło!... Ty, który wiesz, jakim było moje życie, odkąd za ciebie poszłam... jedno harowanie, jedna męka. Od ust sobie

odejmowałam... raz na trzy lata kupiłam sobie nową suknię... Nie zaprzeczysz nic... Nie byłam jak inne żony... Wiedziałam, że ci ciężko. Czyniłam, co mogłam, żeby ci ulżyć, powiedz... Nie myślałam nigdy o sobie... Zawsze tylko o dziecku i o tobie, o twoich wygodach. Nie zaprzeczysz... I ty dziś!... To jedno, jedyne!... Moje korale! Boże! Moje korale!...

Pod gradem tych słów mąż coraz niżej chylił głowę.

Bo to wszystko było prawdą. Była taką. Zabiegliwą, skrzętną, od rana do wieczora na nogach, latającą, cerującą, nigdy niczego nie wymagającą.

I teraz z piedestału tych swoich trudów i ofiar, z tak szczerem, bezdennem przekonaniem o spotykającej ją strasznej krzywdzie, o domaganiu się od niej czegoś wprost nadludzkiego, rzuciła mu te słowa: „Powiedz odrazu, żeby je sprzedać“, iż on sam zląkł się swojej myśli, i uczył, że za nic w świecie nie zdobyłby się na odwagę odrzucenia jej:

— A więc choćby i sprzedać? Cóż

w tem nadzwyczajnego. Czy nie rozumiesz że to twój prosty obowiązek?

Nie! On zrozumiał, że ona tego nie rozumie; nie rozumie do takiego stopnia, iż wszelkie usiłowania wytłumaczenia jej byłyby daremnymi.

Zaniósł się tylko kaszlem, strasznym, dławiącym kaszlem i nie było już o tem więcej mowy.

Po tym wybuchu, który na chwilę w kipiący war zamienił letnią wodę ich małżeńskiej zgody, byli ze sobą na pozór tak jak dawniej, a przecież inaczej, o! jak inaczej.

Oboje mieli do siebie żal.

Ona swój wyrzuciła z duszy, i czasem tylko, gdy pogrążona w kontemplacji swych koralu, przypominała sobie że znalazł się ktoś, kto chciał ją pozbawić tej jedynej własności, tej jedynej ozdoby życia, podnosiła się w niej głucha nienawiść do męża, tłumiona zresztą szybko litością nad jego cierpieniem, poczuciem, obowiązku i pewną dozą przywiązania, jakie bądź co bądź do niego miała.

Ale on!

W jego duszę zapadło to jadem, który jak płyn gryzący wyżarł wszelką miłość do żony; wszelką wdzięczność za to, co dla niego robiła.

To znikło, przesłonięte wspomnieniem tego, czego zrobić nie chciała.

Żył jeszcze lat dwa.

Lat dwa pielęgnowała go, skąpiąc sobie, by jemu kupować coraz inne, chwilową ulgę przynoszące lekarstwa, wyprawiała go na wieś do krewnych, leśną wodą odświeżała powietrze w sypialni.

Ostatniej zimy sprzedała nawet ów indyjski szal na stare wino dla niego; wszystko to jednak były tylko palijatywy zarówno wobec śmiertelnie ugodzonego organizmu, jak wobec śmiertelnie zranionej duszy.

Umarł, a jej sumienie nic nie powiedziało, że go fizycznie dobiła, a moralnie zabiła...

Była przecież jedna istota, która to w jakiś niejasny sposób odczuwała: jej syn.



Ze ojciec żądał tej ofiary od matki i że ona tak to żądanie przyjęła, to pozostało na zawsze dla niego tajemnicą i to było całym szczęściem, bo nigdy nie mógłby jej tego wybaczyć; sam z siebie jednak patrząc na te rozpaczliwe zapasy ze śmiercią, jakich widownią było ich ciasne, podwórzową atmosferą przesiąknięte mieszkanie, myślał, że może znalazłaby się na to jaka rada, jakiś ratunek, gdyby... gdyby...

I stawał mu przed oczami ów skarb bezużyteczny, owe korale, które niegdyś w dzieciństwie, w nagrodę za grzeczne sprawowanie, matka pozwalała mu oglądać.

Po co one kisły w tej komodzie; to był przecie w ich położeniu majątek.

Ale nigdy nie byłby się odważył mówić o tem wprost z matką.

Zanadto mu imponowała swoją abnegacją, swojemi domowemi cnotami.

On zaś był jeszcze tak młody, tak nieznający życia... Może tak jest zawsze, może to taki naturalny porządek życia.

Może istotnie kobiety zdolne są tylko do codziennych, drobnych poświęceń; lecz jakiegoś jednego, wielkiego poświęcenia żądać od nich nie można.

Zresztą, jakim prawem on, syn, mógł tu stawiać jakieś zarzuty, skoro ojciec nic nie mówił, i widocznie uważał, że wszystko jest jak być powinno.

A po jego śmierci, gdy zostali we dwoje i jeszcze bardziej ścieśnić się musieli, matka przeszła samą siebie w oszczędności i pracy około ich malutkiego gospodarstwa.

Sama prasowała mu koszule i przez pięć lat z rzędu przerabiała jeden i ten sam kapelusz.

Czyż wobec tego możliwem było występować z pretensjami?

Nadeszła jednak chwila, kiedy wydało mu się możliwem wystąpić z prośbą.

Miał się żenić.

I tak mu się szczęśliwie złożyło, że panna, w której się szczerze i bezinteresownie zakochał, miała prócz powabów, jakimi zdobyła jego serce, spory posag,

a jej rodzice życzliwym okiem patrzyli na związek, z początkującym wprawdzie, ale rokującym najświetniejsze nadzieje adwokatem.

Pan Antoni, aczkolwiek bardzo zakochany, był jednak wiele ambitnym i cierpiał na tem, że w stosunku do swojej narzeczonej był na razie stroną więcej biorącą niż dającą.

Z początku miał nadzieję, że matka zrozumie jego położenie i sama z siebie uczyni to, co choć w pewnym stopniu mogło zmienić sytuację, gdy jednak ślub się zbliżał, a matka niczem nie zdradzała tych zamiarów, zdobył się na odwagę— jak niegdyś ojciec—i rzekł:

— Moja droga mamo! Jestem w tak drażliwym położeniu. Dotychczas, prócz zaręczynowego pierścionka, bardzo jak mama wie, skromnego, nie byłem w możności ofiarować niczego mojej narzeczonej. Na urządzenie mieszkania zaciągnąłem niby pożyczkę, ale wiem doskonale, że to mój przyszły teść podstawił te pieniądze. To mnie trochę boli i upokarza.

Matka wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem czemu. Gdybyś się żenił dla pieniędzy... Ale oni sami wiedzą, że gdybyś był chciał, byłbyś mógł zrobić materyalnie znacznie lepszą partyę... Zaczynasz być wziętym; świetna karyera otwiera się przed tobą. To taki sam dobry majątek jak każdy inny.

— Zapewne; ale na razie...

— Cóż, na razie? Powtarzam, nie rozumiem twych skrupułów. A choćbym i rozumiała, na cóż się to przyda? Nie wykopię ci z pod ziemi brylantowego naszyjnika dla twojej narzeczonej.

Syn popatrzył na nią uważnie.

Wydała mu się nadzwyczajną. Bo, że mówiła w dobrej wierze, nie mógł wątpić.

Tak, myśl, którą jej chciał podsunąć, ta myśl tak prosta i narzucająca się sama przez się była od niej tak daleka, jak wówczas, gdy mąż między dwoma atakami astmy marzył o wydostaniu zkład pieniędzy na wyjazd zagranicę.

Coś zawrzało w młodem sercu pana Antoniego, niby bunt przeciw temu po-

twornemu zaślepieniu, lecz pohamował się i rzekł znowu:

— Tu nie potrzeba nic wykopywać z pod ziemi; moja mamó. Gdyby tylko mama zechciała mi dać swoje korale...

Nie pozwoliła mu dokończyć,

Porwała się z miejsca jak hyena. Jej zwiędła, żółta twarz pocentkowała się różowemi plamkami.

— Co? Moje korale? Ty chciałbyś obedrzeć matkę z jej jedynej własności!.. Czy ja dobrze słyszałam? Patrzyłeś na moje życie! Nocy nie dosypiałam, w dzień spoczynku nie miałam. W pracy tylko i w pracy... Nie zaprzeczysz... Łachmany na sobie łątałam... głodziłam się nieraz... Wszystko dla was! Dla ciebie i dla twojego ojca. I dziś ty tak samo jak on! O! ja mu tego nigdy zapomnieć nie mogłam. A przecież to było jeszcze coś innego... To był mąż... pracował na mnie lat tyle i... to był obcy człowiek! Ale ty! Ty dziecko moich wnętrzności, na świat w bólach wydane. I ciebie nie wstyd?.. Co ja kiedy miałam w życiu?... Ani młodości,

ani rozrywki, ani wygody, jak inne kobiety. To jedno, jedyne było moje i tego nie mogliście mi strawić.

Usiłował jej przerwać.

— Mamo! przez Boga; niech mama przynajmniej ojca pamięci nie uwłaszcza... Niech mama choć dla jego cieniów nie będzie tak okrutnie niesprawiedliwą...

Ale ona krzyczała dalej, gwałtownie, nienawistnie prawie:

— Niesprawiedliwą! Ty to nazywasz niesprawiedliwością, kiedy mi serce pęka z bólu, na taką niewdzięczność jedyne go dziecka! Popatrz na mnie: na te wysłęzione oczy, na pourabiane palce... Jeszcze ci mało. Jeszcze przychodzisz i mówisz „oddaj“, a potem, jakby się pani synowej tak podobało to „ruszaj stara matko pod kościół, nic już z ciebie!“...

Nie mógł dłużej słuchać. Porwał się za głowę i uciekł z pokoju.

I jak wtedy, gdy rzecz szła o ojca, nie było już nigdy więcej o tem rozmowy i pozornie stosunki pomiędzy matką a synem wróciły do poprzedniej równowagi.

Z jej strony, z biegiem czasu, wyrównały się zupełnie, a nawet stały się lepsze.

Nie potrzebowała już zapracowywać się dla niego. Przeciwnie, zbierała owoce swych trudów.

A że na wielu punktach była naturą fenomenalnie jednolitą i prostą, więc nawet nie przychodziło jej do głowy, żeby rzecz, która nie wywołała żadnej faktycznej zmiany, mogła dokonać jakiegoś wewnętrznego przeobrażenia.

Syn był dla niej zawsze z wielkim szacunkiem, myślał o jej potrzebach, całował ją w rękę na dzień dobry i na dobranoc, czegoż mogła żądać więcej?

To coś boleśnie gorzkiego, co się sączyło w pozorną serdeczność ich stosunku, to zamknięcie przed nią na zawsze jakiegoś duchowego okienka, ta drewnianość głosu przy wymawianiu słów cieplejszych, jakąś życiową koniecznością narzuconych, to pozostało dla niej nieuchwytnem.

To rozumiał i czuł tylko on, ale z tem się nigdy nie zdradził.

Czasem, gdy wybierali się na bal i wzrok jego pieścił białą szyję żony, którą ubóstwiał, myślał, jak ślicznie byłoby jej w tych wspaniałych koralach, blaknących na dnie matczynej komody i powtarzał sobie przez zaciśnięte zęby:

— Skąpa! skąpa!

A pani Antoniowa, jakgdyby odgadując myśl męża, mawiała z niechętnem spojrzeniem w stronę pokoju świekry:

— Gdyby mama nie była taka skąpa, inaczejby wyglądała i moja toaleta i ja!

Albo:

— Zrobiłabym dziś furorę, gdyby nie skąpstwo mamy!

Mąż nie przyświadczał lecz i nie broił matki, ale za pierwsze większe honorarium jakie otrzymał, kupił żonie brylantowe kolczyki i takie samo spięcie na szyję.

Był to wydatek nad możność i teść z tego powodu powiedział mu kazanie o lekkomyślności.

On jednak wiedział co robił.



Chciał nie tylko zrobić przyjemność swojej ukochanej Zosi, lecz jednocześnie rzucić to w oczy matce jako niemy wyrzut.

Co do tego omylił się doszczętnie.

Babcia — była już wtedy naprawdę babcią — obejrzała brylanty, pokręciła głową, co miało znaczyć: „Oj! zbytki, zbytki“, pochwaliła półgębkiem, wreszcie rzekła:

— Bankierskie klejnoty! A ile też kosztują?

Syn odpowiedział:

— Właśnie tyle na ile ocenione były mamy korale.

A babcia, bynajmniej nie zmieszana, owszem z tym błyskiem rozradowania i tryumfu w oczach, jaki pojawiał się w nich zawsze, gdy mówiła o swym skarbie, zawołała:

— O! one dzisiaj więcej warte niż wtedy! Takie antyki z każdym rokiem idą w cenę.

• • • • •

## II.

W domu państwa Antoniostwa panuje jakiś nastrój.

Nie jest on ani artystyczny, ani dramatyczny i niema obawy, aby się z niego wykłuł jakiś plód sztuki, lub wylęgła duchowa katastrofa.

Ale ostatecznie można to tak określić, bo nawet w kuchni, gdy się pieką baby na Wielkanoc, atmosfera, jaka tam wtedy panuje, jest nastrojową.

Tembardziej, ta adwokacka siedziba, do której w oznaczonych godzinach schodzą się klienci, by w niej zostawić swoje kłopoty i pieniądze, i w której we wszystkich godzinach dnia i nocy, dzięki tym właśnie pieniądzom kwitnie ład, dostatek i spokój, tembardziej tedy ta błogosławiona siedziba podlega od czasu nastrojom, na jakie ją stać!

Obecny nastrój wytworzony jest przygotowaniem do balu, pierwszego balu, na jakim Tenia, wypieszczona jedynaczka, wystąpi jako panna dorosła.

Bal ma być kostiumowy i to stanowi podwójną kursywę tego ważnego momentu.

Pani Antoniowa spędziła kilka bezsennych nocy, łamiąc sobie głowę nad wymyśleniem przebrania dla jedynaczki, które byłoby zarazem oryginalne a nie ekscentryczne, „bajecznie kolorowe“ a nie jaskrawe i do delikatnej, rozwiewnej urody Teni przystosowane.

Ułożyła sobie, że musi to mieć coś wspólnego z wodą, ale z góry zastrzegła się przeciw wszelkim Goplanom, Rusałkom i Nimfom, jako zbyt opatrzonym.

Wezwana na pomoc adwokacka wyobraźnia pana Antoniego okazała się najjałowszą w świecie.

Modniarka była także bezradną.

Wreszcie pomysł zjawiał się sam, ot tak nagle, jak wszystkie genialne pomysły:

Królowa morza!

To było coś odrębnego, coś, co dawało pole do roztoczenia całego bogactwa ozdób symbolicznych.

A więc gazowe seledynowo-niebieskie draperye usiane fosforycznymi blaszkami na spodzie z popielato-złotawego jedwabiu, naśladowującego o ile to było dostępnem jedwabiom, tajemniczy, cudowny ton morskiego dna. A na tem tle nadzwyczajna flora i fauna oceanowych głębin: blade porosty, gwiazdy morskie, krepowe meduzy, dziwaczne rybki i małe krabiki z *pâpier maché*. Przy wyciętym dyskretnie staniku, u ramion, delikatne, lekko wydęte żagle, a na rozpuszczonych włosach niby korona, jakiś kształt fantastyczny z purpurowego aksamitu i złotej gazy, niby wizya okrętu widma.

Ten szczegół, „gwóźdź“ całego kostiumu urodził się w wyobraźni młodego adepta sztuki stosowanej, kuzynka, potajemnie zakochanego w Teni.

Jest dzień balu.

W ogromnym salonie dwóch lokai zawzięcie froteruje posadzkę, powynosiwszy

z młodszą do ustronnych części mieszkania wszystkie sprzęty, mogące w tańcu przeszkadzać. Pokój dependentów opróżniono także, zamieniając go na bufet. Przyszłe podpory krtek piszą tymczasem w poczekalni.

Kostium, wykończony we wszystkich szczegółach, rozkłada się tryumfalnie na różowych mebelkach panińskiego buduaru.

Tenia nie może mu się napatrzeć.

Zajęta narówni z innymi przygotowaniami do balu, odrywa się raz po raz to od sreber, które matka poleciła jej przetrzeć miękką ściereczką, to od kieliszków, które jej dano do rozgatunkowania i biegnie oglądać te cuda, aby w nich coraz nowe odkrywać piękności.

Królowa morza! Zdaje jej się, że naprawdę jakaś godność, jakiś majestat wyniesie ją jutro ponad innych uczestników balu.

Królowa morza!

Z paluszkami przy rozchyłonych lekko uśmiechem zachwyty usteczkach, z

mgłą radosnej zadumy w ślicznych, błękitnych oczach, stoi nad tą tęczą kosztownych gałganków, sama jak tęcza wrażeń, przepuszczonych przez pryzmat pierwocin: Pierwszy bal! pierwszy strój fantastyczny! pierwsze uczucie hołdów, tancznego upojenia... liczne męskie ramiona, które ją opasywać będą, z których jedno... dziś jeszcze nieznanne, opasze ją może na zawsze... ten czar niepowrotny wszystkiego co się zdarza po raz pierwszy.

Pani Antoniowa zagląda także często do pokoju córki i przypatruję się wymyślonemu przez siebie arcydziełu. Ale nie wydaje się tak zadowoloną z niego. jakby powinna.

Jakiś cierpki wyraz snuje się dokoła jej ust, jakaś myśl uparta a frasośliwa zasępia czoło obramowane wieńcem *bou-digoł'ów*, powkręcanych w jej piękne jeszcze włosy.

Zdobywa się wreszcie na postanowienie i idzie do męża, który właśnie z teką adwokacką pod pachą powraca z sądu.

— Mój Antosiu! proszę cię na chwileczkę.

On, jak zawsze chętny, gdy chodzi o życzenie jego najdroższej Zosi, śpieszy za nią ze skwapliwością nowożeńca.

— Przypatrz się temu kostiumowi — mówi pani Antoniowa, trochę tragicznym gestem, ukazując mu piętrzące się podobójczo gazy i atłasy.

— Bardzo ładny — odpowiada pan Antoni tonem człowieka, który nie wie czy dobrze robi chwając to, co może powinienby zganić.—Bardzo ładny.

— No, to wiem. Ale czy ty nie widzisz czego mu brakuje?

— Brakuje!

— Ach! mój Antosiu! nie spadajże z nieba. Wy mężczyźni macie dziwną pasję udawania idyotów, gdy tylko chodzi o jakąś sprawę kobiecą. Przecież to kostium Królowej Morza... Morze ma swoje klejnoty... Perły są... jak widzisz wcale niezłe imitacye. Ale niema... koralu. A mogłyby być. Nie imitacye... Prawdziwe, jeszcze jakie!

Teraz pan Antoni zaczyna rozumieć do czego zmierza żona. Wyraz wielkiej przykrości wybija się na jego sympatycznej twarzy.

— Zosiu... Proszę cię!... Daj temu pokój.

— Nie! nie dam — przerywa mu z żywością. — Dopóki o mnie samą chodziło, byłam cierpliwą. Młodość moja zeszła, minęły wszystkie sposobności i ani razu nie ubrałam się w te klejnoty, w których tak by mi było do twarzy. I ty nigdy nie miałeś tej satysfakcyi, żeby widzieć swoją żonę ustrojoną jak królowę, choć były po temu wszystkie dane... Ale teraz... teraz Tenia wchodzi w grę. Pomyśl, coby to był za efekt wspaniały! Takie korale przy takim przebraniu... Olśniłoby wszystkich... kto wie, może zdecydowałoby to nawet o całej jej przyszłości.

— Zosiu!

— Ależ tak! I przyznam ci się, Anteczku, że cały ten strój kombinowany był głównie dla tych korali... Bo cóż!



Bez nich — przebranie jak każde inne...  
A z niemi — no, coś nadzwyczajnego...  
Cała Warszawa by o tem mówiła. Sądzi-  
lam, że mama sama się domyśli. Napo-  
mykałam kilkakrotnie, ogólnikowo.. ale  
nic! Czy udaje, czy rzeczywiście nie  
przychodzi jej to do głowy. A tak wręcz  
mnie nie wypada... Więc możebyś ty,  
Anteczku, jako syn... Poproś, niech da,  
choć na ten jeden raz... Toż i tak kiedyś,  
Tenia...

Panu Antoniemu przypomina się sce-  
na pomiędzy nim a matką przed jego  
ślubem... i wyraz jej oczu, i te słowa  
nienawistne, okrutne, które się wtedy z  
jej ust posypały; przypomina mu się  
ojciec, astmatyk, dogorywający w tęskno-  
cie za wolnem, osłonecznionem powie-  
trzem, i porywa go taki przyływ lat,  
tyle tłumionego żalu, goryczy, obrzydze-  
nia, że zapominając o swojej tece chwyta  
się za głowę.

— Nie! za nic! Tego odemnie nie  
żądaj!

Teka upada z hałasem. Pan Antoni zbiera szybko porozrzucane papiery i ucieka z pokoju, jakby go kto gonił.

Żona patrzy za nim ze zdziwieniem.

— Co mu się stało? Tak się unieść o taką drobnostkę! To mu się jeszcze nigdy nie trafiło.

Nie daje jednak za wygraną. Po pewnym namyśle przywołuje córkę.

— Teniu!

Pani Antoniowa nadbiega rytmicznym krokiem, jakby już tańczyła walca.

— Jestem, mamusiu!

— Kontenta jesteś ze swego przebrania, dziecinko?

— Och! Mamusiu! Czy może być piękniejsze! Jaka mamusia dobra! Jaka ja szczęśliwa!

Pani Antoniowa ma chwilę wahania. Coś ją ostrzega, żeby nie psuła tej ślicznej, wielkiej radości poddawaniem jej myśli, że może być jeszcze większą. Ale próżność macierzyńska zwycięża.

— To dobrze, kochanie, że ci się tak podoba... Tylko widzisz... matkom nigdy

dosyć, gdy chodzi o ich córki. Jabyłm chciała dodać coś jeszcze do tego stroju.

— Doprawdy, mamusiu?

W głosie Teni dźwięczy zdziwienie i jakby zawód... Ona sądziła, że to jest coś nieskończenie doskonałego.

Tymczasem matka mówi dalej śpiesznie i z niejakiem zakłopotaniem.

— To zresztą niekonieczne... Tylko.. Jak ci się zdaje, Teniu? Pięknie by przy tem wszystkim wyglądały korale babci?

Tenia składa rączki w nagłym olśnieniu.

Ach! Mamusiu!

Zna je ona, te korale, bardzo dobrze i zachwyca się nimi od dzieciństwa. Babcia pozwalała jej nieraz napawać się ich widokiem, jak niegdyś jej ojcu, gdy był grzeczny i miał dobre stopnie.

— Ach, mamusiu! To byłoby cudownie!

— A, widzisz?

— Mamusiu najdroższa!

Rzuca się jej nagle na szyję i zaczyna ją namiętnie całować.

— Jaka mamusia dobra! Mnieby to

nigdy na myśl nie przyszło! Jaka mamusia dobra!

— Przestańże mała waryatko!—odpowiada pani Antoniowa z uśmiechem.—To babcia będzie dobra gdy ci pożyczy.

— O! z pewnością pożyczy! Babcia mnie tak kocha! Zaraz pójde i poproszę! Ach! jak to będzie ślicznie!

Ta naiwna wiara dziecka, które tak mało z życia rozumie, napęłnia znów matkę pewną obawą. A jeżeli...

Chciałaby ją zatrzymać. Ale Tenia już biegnie tym samym tanecznym krokiem w głąb mieszkania i stuka do drzwi pokoju babki.

— Kto tam?—pyta z wewnątrz głos ostry, jakby zniecierpliwiony.

— To ja, babciu!

— A, to ty kochaneczko. Zaraz, zaraz ci otworzę.

Widocznie panujący w domu nastrój musiał się przedostać i do pokoju babci i podziałał na nią światowo. Musiały jej się przypomnieć dawne sny o tryumfalnym przez świat pochodzie w blaskach

hołdów i rozkoszy; więc jak za dawnych czasów, gdy podobna bachantce upajała się niemi naga, wydobyla z ukrycia swój haszysz: korale!... zamknąwszy się wprzód na klucz z przyzwyczajenia, co było całkiem zbyteczną ostrożnością, jeżeli chodziło o nagość, bo nawet jedna haftka ciepłego szlafroka nie została teraz odpiętą u jej pomarszczonej szyi.

Ale babcia przestrzega zazdrośnie, aby nie powołane oczy nie sprofanowały jej skarbów – służba jako żywo nigdy ich nie oglądała – wnuczka jednak stanowiła wyjątek, więc klucz przekręca się w zamku i Tenia już we drzwiach spostrzegła cel swoich odwiedzin.

Korale! Korale!

Leżą porozkładane na pluszowej serwecie środkowego stołu i zdają się napełniać cały pokój swą cudną różowością. Nawet zżółkła, wyschnięta twarz babci odbija przy nich jakąś cieplejszą barwą.

Tenia staje nad koralami w niemem zachwyceniu. Nigdy jeszcze nie wydały

jej się tak piękne, bo nigdy nie patrzyła na nie z pożądliwością.

Ten zatruty kwiat ludzkich uczuć był dotąd nieznanym gościem w jej błękitnych oczach. Dziś nawiedza je po raz pierwszy i udziela im zupełnie innego wyrazu.

Babcia tego nie widzi, jak zresztą niczego dokoła siebie. Trzyma w palcach jeden z kolczyków i przygląda mu się z nadzwyczajną, zatroskaną uwagą.

— Dobrze żeś przyszła, Tenieczko— mówi po chwili.—Pomożesz mi. Mnie się zdaje, że się tu sam koniuszerek nosa nadkruszył. Popatrz no, kochasiu. Twoje młode oczka lepiej to zobaczą.

Tenia bierze kolczyk, ale myśli jej bujają gdzieindziej. Wszystko w niej drży, żeby to cudo włożyć w płonące pożądaniem i ciekawością uszko i przejrzeć się w lustrze, jak jej z tem będzie.

Biedna Teniu! biedny różany paku! znający dotychczas tylko rzeźwiące kąpiele porannej rosy życia! Po raz pierwszy smutny, pałący powiew próżności i

chciwości, to zabójcze sirroko ducha muska twe wilgotne płatki!

— Cóż? — zapytuje babcia. — Ukru-szony?

— Nie! nie! Cały.

— No to chwała Bogu.

Wyciąga pomarszczoną rękę, lecz wnuczka przytrzymuje kolczyk w drżą-cych paluszkach... Sądziła, że jej to przyjdzie bardzo łatwo... a tymczasem jakiś dziwny strach ściska ją za gardło i serce bije jej tak mocno.. To także nowe uczucie. Nie wiedziała dotąd, że można się lękać słów własnych.

— Babciu!.. Niech mi babcia pozwoli... przymierzyć!

Niczego nie podejrzewając babcia uśmiecha się łaskawie. Czyjeś zachwyty nad jej koralami są jej tak drogie jak matce pochwały oddawane jej najdroższemu dziecku.

— A dobrze, kochaneczko. Masz tu drugi.

I Tenia przymierza. Boże! jak ślicznie! Jaki odblask pada od tych precudnych

kamyków na jej młodzieńcze policzki!  
Rzekłby kto dwie polne róże oblane jasnością wschodzącego słońca.

Ten widok dodaje jej odwagi.

Z rozbłysłymi oczyma odwraca się od lustra, składając rączki.

— Ach! babciu najdroższa! Prawda jak mi ładnie?

— Prawda, kochaneczko! Komu brzydkoby było w takich kolczykach. Cóż dopiero tobie, moja ślicznotko.

— Babciu! Babcia mi je da te kolczyki i to wszystko do dzisiejszego przebrania?

— Co takiego?

Ten głos! Tenia nie miała pojęcia, że babcia może przemówić takim głosem... Jest w nim coś twardego, coś złego, rozjuszonego niemal.

I znów lęk jej powraca, tylko jakby bardziej uświadomiony. Już wie czego się lęka:

Tego głosu.

Ale mimo to brnie dalej:



— To tylko na dzisiaj, babciu—jąka cała drżąca—babcia mi tylko na bal pożyczycy... Im się nic nie stanie... Moja babciuniu!...

Wzrok babci jeszcze gorszy od głosu chwyta ją za gardło, niby kleszcze.

— W imię Ojca i Syna! A toż znowu co za koncert? Moje korale? Czyś ty zwaryowała, dziewczyno? Oddaj zaraz te kolczyki!

Błękitne oczy Teni napęlniają się łzami. Gdyby jej tak kto był powiedział przed kwadransem, że ona w dzień swego pierwszego balu płakać będzie! Nigdy by temu nie uwierzyła...

— Dobrze, babciu... zaraz... Tylko niech babcia tak na mnie nie patrzy... Moja babciu... Mnie to boli...

Ale babcia nie zważa. Drapieżny, prawie nienawistny wzrok wpija w drżące paluszki panienki, nie umiejące sobie poradzić ze staroświeckimi zapięciami kolczyków. Jej własne, pomarszczone palce, zakrzywiają się jak szpony i dygocą z niecierpliwości. Zdaje się, że jeszcze

chwila, a rzuci się i wyszarpie uparte ozdoby z tych drobnych, delikatnych uszek.

Z zapadłych jej ust, pryskają wciąż słowa zjadliwe, fatalne:

— Słyszane rzeczy! Już ich znowu korci! Naprzód tamci dwaj, a teraz ta smarkata... Namówili ją pewno... Idź, wydrzej starej babce jedyną jej własność!.. Piękne wychowanie! Piękne nauki! Do przebrania! Moje korale!... Żeby je porozrywała i pogubiła w tańcu, a panowie danserzy porozdeptywali obcasami jak pierwsze lepsze świecidła ze stragana. Widziałam ja te twoje przebranie! Boże się zmiłuj! Istny sklep norymberski... Moich koralii jej się do tej tandety zachciało!.. Jeszcze czego.

Trzęsącemi się rękoma zbiera prędko porozkładane na stole klejnoty i chowa je do puzdra.

Na jej suche, zmarszczkami posiekane policzki wystąpiły plamy, niby krążki pomarańczowej skórki; oczy migocą brzydko w oprawie obwisłych, bezrzęs-

nych powiek, ostry czubek nosa zaczerwienił się ze wzruszenia, a w kącikach bezzębnych ust nagromadziła się ślina.

Jest w tej chwili szkaradna i wstrętna jak każda chciwą złością ziejąca starość.

I mówi dalej, podniesionym, syczącym głosem:

— Nawet w swoim pokoju swobody mieć nie można!... Nawet się swoją własnością nacieszyć!... Zaraz: oddaj! Otóż nie dam! nie dam!... Schowam i więcej nie pokażę... póki mego życia na takie zmarnowanie nie pozwolę. Taka młoda koza, żeby tysiące na siebie kładła! Do czego to podobne!... Nanosisz się ich jeszcze, nanosisz!... Do trumny ich ze sobą nie zabiorę. Poczekaj trochę!

— Babciu!... — przerywa Tenia rozpaczliwie.—Babciu, ja nie rozumiem... Co się to stało? Ja się boję!

Ale babcia wpadła w kompletną furę. Jest to trzeci w jej życiu atak—najsilniejszy.

Po raz trzeci na tej strunie jej duszy kładzie się czyjaś ręka i wywołuje jej

samej obce dźwięki. Zazwyczaj jest spokojną, powściągliwą, nawet łagodną. A teraz—pieni się.

— A właśnie że zabiorę! — wykrzykuje — To moje!... Moje własne!... Twój ojciec nie ma do nich prawa, bo mi ich ani mąż nie dał, ani rodzice. Nikomu nic do moich koral! Jak zechcę to się każę z niemi pochować!... Tak! Taka będzie moja ostatnia wola... i nic na to nie poradzicie. Za karę... Za karę... że wam tak było pilno. Pan Bóg chciwców karze!..

Tenia już tego nie słyszy. Uporała się z kolczykami, położyła je na stole i tłumiąc ze wszystkich sił łkanie, ucieka z pokoju.

W sypialni oczekuje na nią matka.

I cóż! Dała babcia korale?

Tenia z głośnym płaczem rzuca się matce w objęcia.

— Och! Mamusiu! Czemu ja tam poszłam! Czemu ja tam poszłam!

— Uspokój się, dziecko! Uspokój się. Cóż takiego? Co ci babcia powiedziała?

— Co mi babcia powiedziała? O! Mamusiu! Ja bym tego nigdy, nigdy nie powtórzyła... To było takie okropne!...

Pani Antoniowa, tuląc rozszlochaną córkę, czyni sobie srogie wyrzuty, że stała się pośrednią sprawczynią cierpienia ubóstwianej jedynaczki i w jej pogodnej duszy wzbiera taka nienawiść do świekry, że gdyby mogła jakim sposobem pozbawić ją tych przeklętych koralu, bodajby wrzucić je w ogień, uczyniłaby to z przyjemnością.

— Obrzydliwa stara, skąpa, szkaradna!—myśli, a głośno tłumaczy:

— To nic, Tenieczko! Starsi miewają czasem swoje dziwactwa... Nie myśl już o tem... Ja się nawet zastanowiłam że to byłoby za ciężko z temi koralami. No, nie płacz już córuchno, będziesz miała czerwone oczka wieczorem.

Babcia przecież jeszcze jedną niespodziankę zgotowywa Teni.

Ta w naiwności swoich ośmnastu lat jest przekonana, że zaszło coś tak okropnego, co nazawsze zmieni ich dotychczas-

sowe stosunki; że babcia nigdy już nie przemówi do niej życzliwie, a ona nie potrafi podnieść na nią oczu.

Jakież więc jest jej zdumienie, gdy wieczorem, kiedy ją kończą ubierać, babcia z całą swobodą wkracza do jej pokoju. Bo babcia kocha ją po swojemu, tę jedyłą wnuczkę, — nawet bardzo — i jest szczerze zainteresowana jej światowym debiutem.

Teraz, gdy korale przytłoczone stosem starych prześcieradeł leżą na dnie komody, a ona ma klucz w kieszeni i pewność, że tym skarbowi żadne niebezpieczeństwo nie grozi, „sklep norymberski“ znajduje łaskę w jej oczach, a widok ślicznej w tem przebraniu jak fantastyczna akwarela panienki, napęłnia ją dumą.

Uśmiechnięta, zadowolona, z lornetką przy okularach, obchodzi w koło Tenię, która z pod spuszczonej rzesz rzuca na nią ukradkowe, niedowierzające spojrzenia. Czy podobna, aby ta miła, dobrotliwa staruszka, była tą samą zaślinioną jędzą, która przed kilku godzinami wy-

glądała tak, jakby była gotowa wydrapać jej oczy.

— Ślicznie! Ślicznie! — woła babcia z zachwytem. — Tylko czemu taka smutna minka? Nie patrz że tak w dół, kochasiu!

I pieszczotliwie ujmuje ją pod bródkę, a pani Antoniowa aż wychodzi z pokoju, żeby świekrze czego przykrego nie powiedzieć.

A Tenia jeszcze bardziej się w tem wszystkim połapać nie może. I pomimo, że z wejściem na salę balową, ogarnięta wirem zabawy odzyskuje pozorną wesołość, serduśzko jej tak ufnie dotąd w wacie rodzicielskiej pieczołowitości spoczywające, zmrożone jest i niepokoju pełne...

Pierwsze niezaspokojone pragnienie i pierwsze rozczarowanie życiowe.

Czegoś jej brak w tym stroju, który uważała za skończenie doskonały i ludzie wydają jej się mniej dobrzy... ach! jak mniej dobrzy!...

### III.

Minęło parę tygodni.

Z wielkiego salonu, w którym odbywał się bal, wyprzątnięto znów meble, tym razem na przyjęcie jednego tylko gościa.

Gość to dziwny: zawsze gotów stawić się na skinienie lada nędzarza, mającego pod ręką kawał postronka lub butelkę ługu, a nie ma takiego potentata, który mocen byłby obwarować przed nim bramy swoich pałaców, gdy tamtemu przyjdzie fantazyja nawiedzenia go.

Jeżeli jest gdzie pożądanym, tedy dom taki zamieszkują albo potwory ludzkie, albo zropaczeńcy, nie mający już nic do stracenia, a przecie gdziekolwiek się zjawia wszędzie zajmuje pierwsze miejsce i podejmowanym być musi z największemi



honorami. Ubogi wyrobnik dobywa dla niego grosz ostatni; bogaty składa mu daninę kosztownego ceremoniału. świec i kwiatów. On zaś, przychodzi tylko po to, aby zabierać a jeżeli co zostawi to łzy, tęsknotę i pustkę.

Dziwny, złowieszczy, przeklęty gość!

Jeszcze karety turkotały w bramie, uwożąc rozbawione grono, a on już pukał do tych drzwi ledwo zamkniętych za ostatnim balownikiem. Leciutko, wprost nieuchwytnie, ale pukał

Oczywiście nikt mu wtedy nie otworzył; nikt nie przypuszczał, że mu trzeba będzie otworzyć...

Jedna może pani Antoniowa przecuciem macierzyńskiego serca dosłyszała to złowrogie pukanie.

Musiała je dosłyszeć, bo inaczej nie byłaby się tak niewypowiedzianie przepelękała bólu głowy i dreszczów, na jakie Tenia jeszcze nie rozebrana z gaz i atlasów „królowej morza“ skarżyć się poczęła.

Ból głowy i dreszcze po przebawionej nocy rzecz zupełnie zwyczajna!

Ona wszelako przełękała się tak strasznie, że gdy dotknęła dłonią rozpalonego czoła córki, uczuła wyraźnie, jakby w tej samej chwili coś lodowato zimnego chwyciło ją za gardło, a już w tem lodowym uścisku chodziła przez cały czas choroby Teni, choroby, która jeszcze tego samego dnia rozwinęła się w gwałtowny tyfus.

Pani Antoniowa spełniała skrupulatnie polecenia lekarzy, nie śpiąc, nie jedząc, z suchemi oczyma i stężoną twarzą czuwała przy łóżku rzucającej się w malignie jedynaczki, ale nadziei nie było w niej żadnej.

Przyszedł kryzys i gość zapukał po raz drugi.

Tym razem słyszeli go wszyscy: i powagi lekarskie zgromadzone dokoła chorej, i ojciec, który chodził, jak błędny, chwycił doktorów za ręce i krył się po kątach z obcem dotąd jego męskiej piersi łkaniem, i babcia modląca się godzinami na klęczkach w swoim pokoju, i służba,

która traciła głowę ze zmęczenia i żalu nad dobrą i kochaną panienką. Każdy jak mógł podpierał drzwi i zaryglowywał zamki, aby tylko nie wpuścić straszliwego gościa.

Kryzys minął; gorączka spadła; zdawało się, że niebezpieczeństwo zażegnane, że gość odszedł.

Wszyscy odetchnęli i cieszyli się z odniesionego nad nim zwycięstwa. Wszyscy prócz pani Antoniowej. Ona jedna czuła go wciąż przyczajonego za progiem.

I sprawdziła się obawa nieszczęsnej matki.

W niespełna tydzień, gdy rekonwalescencya postępowała szybko ku zupełnemu wyzdrowieniu, gdy Tenia wyczerpana i bledziutka, ale całkiem przytomna siedziała na łóżku obłożona poduszkami i piła z apetytem rosół, uśmiechając się słodko do rodziców i babki, gość... wszedł.

Nie zapukał tym razem; sam sobie otworzył swym wszechkluczem i wszedł.

A teraz on tu jest panem i rządzi.

Mieszkanie napełnia się obcemi ludźmi zwołanemi na usługi przybysza. Jedni wnoszą ogromne wazony kwiatów szero-kolistnych i roślin kwiatem białym okrytych i ustawiają je pośrodku salonu dookoła podłużnego wzniesienia o ponurym, odpychającym wyglądzie; inni zaciągają czarne opony na okna i na ściany, przepinając gdzieś ich zwoje srebrnymi girlandami.

Jakiś pan od pięt do podbródka ubrany czarno, który koniecznie chce być smutnym, a w gruncie rzeczy ma dużo powodów do wesołości, kręci się pośród nich i cichym głosem wydaje rozporządzenia. Wogóle cały ten ruch i zamęt ma w sobie coś nieujętego, widmowego, jak rzeczy które się dzieją we śnie.

Nawet młotki przybijające draperye stukają w sposób stłumiony i przewlekły, który brzmi jak skarga.

Czasem jakiś twardy przedmiot usunie się z hałasem, lub ktoś przez zapomnienie stąpnie głośniejsz i wtedy zaraz daje

się słyszeć gromiące syknięcie pana, ucha-  
rakteryzowanego na smutek.

Wprawne jego oczy lustrują mroczne  
wnętrze, orientując się w niem z kocią  
łatwością.

Jest zadowolony.

Dekoracya salonu wypadła wspaniale  
i przyniesie mu czterdzieści procent czy-  
stego zysku.

Inaczej być nie może. Jego fach jest  
smutny, że przy mniejszym procencie  
stałby się tragicznym.

Na dany przez niego znak dwóch  
ludzi wślizguje się ostrożnie w głąb miesz-  
kania i wkrótce wracają, niosąc podłużne  
pudło aksamitem białym wybite. Z atła-  
sowego wysłania srebrne frendzle zwię-  
szają się dokoła, falując w takt kroków  
z leciuchnym, szklannym szelestem. Po  
kancie biegnie splot żywego kwiecica, de-  
likatnych, białych narcyzików i konwalii  
i dyszy upajającą wonią.

Tak wygląda bombonierka przygoto-  
wana na ucztę dla dziwnego gościa.

Tuż za nią postępuje pan Antoni, prowadząc żonę pod rękę.

Idą tak, jak często w pierwszych latach małżeństwa chodzili na spacer, mając przed sobą niańkę, niosącą na ręku Tenię, ustrojoną w białą sukienkę. Teraz ci ludzie niosą także Tenię, także w białej sukience.

Jest tylko jedna różnica...

Boże! Boże Wielki! Ty, który się troszczysz o los najlichszego robaczka w skalnej szparze na dnie oceanu ukrytego, jak! o, Miłosierny! możesz dopuścić, aby oczy rodzicielskie patrzyły na podobne różnice!

. . . . .

Szybko, milcząco ustawiono białe pieścidelko śmierci na wzniesieniu i doprowadzono do porządku zrujnowaną symetryę roślin i wysokich świeczników. Czarno ubrany pan zapala je własnoręcznie, migając długim kijem zapalacza, jak wódz buławą.

U środkowego okna czarna płachta zsunęła się trochę z ramy i nagle, blady promień zimowego słońca wciska się przez tę szparę do mrocznego wnętrza i zawisa ponad lasem żółtych płomyków niby srebrzyste, rozedrgane sklepienie.

I przez chwilę cały ten klomb zieleni i światel, z tym białym, wydłużonym kształtem pośrodku wygląda jak jakaś zaziemska świątynia o gorejących kolumnach i rozpylonych na promienne atomy łukach.

W tem podwójnem oświetleniu drobna, nieruchoma twarzyczka Teni opłynięta zwojami dziewiczego welonu i kaskadą płowych włosów zdaje się nurzać w powietrzu jak wizya pływaczki uspioonej na wznak, na kołyszących ją mleczno-złocistych falach.

Żółtawe tony alabastru kładą się na ślicznem, czysto zadumanem czole, wyjaskrawiając kredową biel wieńczącego je pomarańczowego kwiecica.

Pod zamkniętymi powiekami dwa liljowe cienie wydłużają dziwnie linię rzęs,

które w migotach światel zdają się drżeć i mrużyć, jak gdyby szeptały coś tym oczom niczego widzieć nie mogącym.

Widmo uśmiechu błąka się dokoła bledziutkich ustek, tego uśmiechu, którego tajemnica jest błogosławioną jałmużną odchodzących, rzuconą tym, którzy zostali.

Bo usta umarłe uśmiechają się zawsze, choć stygły w męce i choć ból ostatniego tchnienia pozostawia je na chwilę otwarte i wykrzywione taką grozą, że kto klęczał przy śmiertelnem łożu ukochania swego i musiał przyjąć ten widok w oszalałe rozpaczą serce temu zdaje się zrazu niepodobieństwem, aby mogło żyć dalej.

Ale potem złata ten uśmiech zesłan-  
nik zaświatowy i zdaje się mówić: „Nie  
żałujcie mnie, jest mi dobrze“ widzi go  
się... i karmi się głodną swą duszę hostyą  
tej pociechy... i... żyje się.

• • • • •



A teraz wszystko już gotowe i ukończone; robotnicy porozchodzili się, otrzymawszy napiwki od czarnego pana, który je zapisuje skrzątnie w notesie i zapewne ze wzruszenia myli się w cyfrach.

Jednocześnie zaczynają napływać znajomi—niedawni goście kostiumowego balu—i wieńce.

Tych jest bardzo dużo; bo pan Antoni jako sławny adwokat, ma rozległe stosunki i wielu klientów, którym zależy na tem, aby strapiony ojciec nawet u trumny córki mógł sobie przypomnieć o ich istnieniu.

Czarno ubrany pan snuje się wciąż u stóp wzniesienia rozkładając szarfy ze zręcznością doświadczonego dekoratora. Chodzi przecież o to, aby wszystkie napisy były widoczne i aby każdy mógł je odczytać, bo poco one tu są.

Ale honorowe miejsce otrzymuje jeden bezimienny wieniec, tak jest cudny i nadzwyczajny.

Dwa skrzydła anielskie uczynione z drobnych, białych kwiatków, delikatnych

jak piórka, a pomiędzy niemi jedna tylko lilja nieopisanej piękności. Na białych, długich szarfach, zakończonych frendzlą z kryształowych lez srebrny napis:

„Uleciałaś lilijko na skrzydłach anioła“.

Czarny pan jest tego zdania, że litery powinny być złote, bo srebro na białem nie odcina się dość wyraźnie zdaleka.

— Kto to przeczyta—myśli, zgorszony taką niepraktycznością, psującą mu cały efekt—chyba sama umarła.

I wcale mu nie przychodzi do głowy, że taką właśnie mogła być chęć bezimienego ofiarodawcy.

Wogóle wieniec ten staje się przyczyną wielu roztargnień nie licujących z żalobnym nastrojem; zwraca bowiem uwagę wszystkich, a nikt nie może się domyśleć od kogo by pochodził. To tylko nie ulega wątpliwości, że musiał bajecznie drogo kosztować, podejrzenie zatem zwraca się na pewnego, młodego przemyśłowca, który ma własny samochód, a na kostiumowym balu dużo tańczył z Tenią.

Wytwarza się cała legenda dokoła postaci tego młodzieńca, z zawodu piwowara i czyni go ogromnie interesującym w oczach panien na wydaniu, zwłaszcza starszych. Młodsze są tak lekkomyślne, że nie wierzą, aby ten przerabiacz chmielu mógł się zdobyć na podobnie poetyczny i oryginalny pomysł i każda ma w zapasie odpowiedniejszego po temu kandydata.

Wymiana tych domniemań odbywa się oczywiście bardzo minorowym szepem, ale z wielkiem ożywieniem; żadne jednak nie pada w stronę ubogiego kuzynka malarza, który komponował dla Teni modelik Okrętu-Widma, na balu zaś nie był. bo nie miał fraka.

Wprawdzie jego bliższe otoczenie zdumiało się poniekąd, że właśnie w tym czasie, to jest na parę dni przed pogrzebem Teni sprzedał za bezcen parę swoich obrazków, z którymi, będąc zawsze dziwakiem, za nic dotąd rozstawać się nie chciał; przez następne zaś kilka miesięcy uważano, iż chodzi w bardziej jeszcze

podartych butach niż to miał we zwyczajach i że wogóle wygląda jak gdyby tylko co trzeci dzień jadał obiad, nikt jednak nie zadał sobie trudu zestawić tych faktów pospolitych w życiu artysty z „bajecznie kosztownym“ bezimiennym wieńcem.

Ale wszystko to są rzeczy późniejsze a teraz wieńiec spoczywa tryumfalnie u szczytu kwitnącej piramidy rozesłanej dookoła wzniesienia, oparty o biały, aksamitny brzeg nieuniknionej skrzyni i swemi pachnącemi skrzydłami zdaje się otulać i pieścić te drobne sztywne stopki, pod które, gdy były żywe, podesłało się jedno biedne, niepraktyczne serce, co go tu w ostatniej ofierze złożyło.

„Uleciałaś Lilijko na skrzydłach anioła“ powtarzają wonnym szeptem mdlejące, śnieżne płatki a miłosość ich szeptu jest tak czystą jak one same i dostępną jedynie oczom zamkniętym już na zawsze dla ziemskiego rozgwaru.

Więc może i słyszą ją, niby z białego koralu wycięte uszka Teni, pod złociste

---

---

fale rozpuszczonych włosów wtulone, może dlatego błogosławiony uśmiech jej bledziutkich ustek staje się coraz wyraźniejszy i słodszy.

„Uleciałaś Lilijko na skrzydłach anioła“.

. . . . .

Czarny pan ukończył wreszcie swe reżyserskie czynności.

Uhonorował dziwnego gościa jak nie można lepiej.

Teraz nie pozostaje mu nic innego jak oddalić się i w skupieniu ducha spisać rachunki.

Z jego rozkazu w najciemniejszym kącie salonu ustawiono dwa fotele, on zaś już na wychodnem, z czarnym kapeluszem w rękę, zbliża się do pana Antoniego i jego żony - którzy jak stąpali naprost wzniesienia tak stoją nieruchomo wpatrzeni w jeden punkt — i gięstem bezbrzeżnego współczucia, specjalnie wystudyowanym na użytek klientów bogatych a nie targujących się w swej rozpacz, podprowadza ich ku tym fote-

lom i głosem bohatersko hamowanej żalości pełnym przekłada im, że dobrze uczynią jeżeli usiądą.

A oni siadają posłusznie i patrzą dalej w ten sam punkt.

Była taka chwila podczas kostiumowego balu, kiedy znaleźli się oboje w tym samym kącie salonu i nieodwoływani narazie do swych gospodarskich obowiązków, przyglądali się balowej zabawie.

Tańczono jakąś mazurową figurę.

Pośrodku — właśnie w tem samym miejscu, gdzie teraz wznosi się aksamitem obite pudło, stała Tenia. — Ona — ich córka!

Jej śliczna, barwna postać widniała po przez czarne i kolorowe fraki, jak teraz, jej nieruchomy kształt bieli się wśród zielonych liści i żółtych płomyków.

Wizya Okrętu-Widma chwiała się na jej rozpuszczonych włosach to wznosząc się to opadając w takt jej lekkich poruszeń, jakgdyby naprawdę płynęła wskroś bezkresnych fal. Teraz, ślubny wieniec leży martwo na tych tak samo rozpusz-

czonych włosach, i zdaje się opowiadać o mistycznych godach z oblubieńcem, którego imię: Wieczność.

O innym oblubieńcu myśleli wtedy uśmiechnięci rodzice, mniej dostojnym, podobnym do jednego z tych, którzy zwartym kręgiem otaczali ich jedynaczkę.

I patrzyli, jak obnażone, delikatne ramię podniosło się wysoko i z figlarnym rozmachem podrzuciło w górę chusteczkę, jak młodzieź skoczyła chwytać przejrzystą szmatkę, a ona, cała różowa, z rozkołysaną piersią i świecącymi jak błękitne gwiazdy oczyma, czekała aż najsprawniejsze z tych ramion zdobywszy koronkowy łup porwie ją i uprowadzi w skoczny tan.

A teraz... A teraz!..

Patrzą -- i nie wierzą.

Jakaś obręcz nieprawdopodobieństwa zaciska się dokoła ich głów nieszczęsnych, a myśli ich bezładne, rozbijają się o nią, wgniatają jedna w drugą, gubiąc w tem bolesnem stłoczeniu świadomość rzeczywistości.

Co jest prawdą, a co złudzeniem: to czy tamto? Czy podobna, żeby ta biała, niema, sztywna postać była kiedyś—nie-dawno jeszcze żywą, wesołą, śmiejącą się istotą, która dawała im tkliwe, na zawsze dziś umilkłe nazwania i tuliła się do nich pieszczotliwie! Czy podobna, że taki cud święcił się w tych samych ścianach każdodziennie i że oni przyjmowali go jako rzecz zwykłą, naturalną...

Nie! nie!.. to nigdy nie mogło mieć miejsca.. Bo gdyby teraz te kiry i te światła ponure i ten kopiec żaloszny i ta dziwna na jego szczycie obecność, gdyby to wszystko znikło raptem i salon odzyskał swój dawny wygląd, i gdyby ta ich jasnowłosa dziewczeczka wbiegła tu w podskokach, szczebiocąc swym srebrnym głosikiem, cóżby uczynili?.. Czy zdołaliby pomieścić w swych skrwawionych sercach taki nadmiar szczęścia!..

Czują, że nie zdają sobie dokładnie z tego sprawy, że im to poprostu rozszadziłoby piersi, zupełnie, jakgdyby im kto



chciał wtłoczyć w te biedne, ciasne, ludzkie piersi, całe słońce.

Więc jakże.. jakże to było?..

A jeżeli było to jakże uwierzyć w to co teraz jest... jak to przenieść, jak się z tem zżyć!

To ma być ich córka... ich Tenia... ta, tam wysoko spoczywająca, woskowa figura, od której po przez duszące zapachy kwiatów zalatuje już woń trupia.

Nie! nie!... po sto razy nie!..

I to nie—i tamto nie! Boże! Boże!..

Pan Antoni pociąga ręką po czole z jakąś mętną nadzieją, że spędzi ten ucisk straszliwy, który mu przytłacza mózg i całe jestestwo aż do zatamowania oddechu... Co to jest? Co to jest takiego? Aha! już wie. To się nazywa: rozpacz.

Dziwne; tyle już życia ma za sobą, tyle razy słyszał ten wyraz powtarzany dokoła siebie; sam się nim posługiwał, a nigdy nie przypuszczał, nie wyobrażał sobie...

Spogląda na żonę.

Ona także nie знаła dotąd co to rozpacz... a przecież za lat kilka mieli obchodzić swoje srebrne wesele... Tak, musieli być za szczęśliwi. Takie rzeczy nie mogą ujść ludziom bezkarnie.

— Zosiu — szepce bardzo cicho, i ma wrażenie, że to ktoś inny za niego przemówił. — Zosiu!..

Ona lekko chwieje głową i odpowiada matowym, sennym głosem:

— Dobrze, dobrze... Wiem...

Co dobrze?.. Co wie?..

I siedzą dalej obok siebie, bez ruchu, bez słowa, wpatrzeni w jeden punkt.

Salon zapełnia się odwiedzającymi.

Wszyscy stąpają na palcach; kobiety przytrzymują rękami suknie, żeby nie szeleściały jedwabiem podszewek. Procesjonalnie obchodzą wzniesienie, próbując z którego punktu najlepiej widać. Witają się pomiędzy sobą, wyciągają szyje i cichutko, dyskretnie, udzielają sobie spostrzeżeń.

Jakaś krótkowzroczna pani ukradkiem przykłada do oczu lornetkę, maskując ją

batystową chusteczką. Gdyby przypadkowo rodzice spojrzeli w tę stronę mogliby myśleć, że płacze.

Dużo jest młodych pańienek, koleżanek i rówieśnic Teni. Karnawał trwa jeszcze w pełni i niektóre przyszły tu po przetańczonej nocy z dźwiękami walca w uszach. Ich pobladłe z niewyspania twarzyczki mają wyraz zdumienia i przestraszenia.

Szeroko roztwierającymi się oczyma patrzą na pomarańczowy wieniec i mgławicowe zwoje welonu, ten strój weselny, o którym marzy każda, a o którym żadna dotąd nie pomyślała, że mógłby je i na takie gody ustroić.

Jedna z nich, blondyneczka, wzrostem i postawą przypominająca trochę Tenię, podchodzi do pani Antoniowej i całuje ją w rękę.

Pod dotknięciem ciepłych, świeżych usteczek, na widok chylących się ku niej jasnych splotów coś jakby pękło nagle w tej dotychczas kamienno spokojnej kobiecie.

Przeraźliwy szloch wstrząsa nią całą. Zrywa się z miejsca i zakrywając twarz rękami ucieka z salonu. Za nią spieszy mąż, któremu także łzy zaczynają się toczyć po bladej twarzy.

Panienska stoi ze spuszczoną główką jak winowajczyni.

Jest ogromnie zmartwiona swoim nierozważnym postępkim.

Czuje na sobie zgorszone spojrzenia obecnych, zwłaszcza matek, mających brzydsze od niej córki i to ją jeszcze bardziej przygnębia.

Ale jakiś stary pan o mądrych, wyblakłych oczach zbliża się do niej i mówi dobrotliwie:

— Bog cię natchnął, moje dziecko. Wyświadczyłaś dobrodziejstwo tym biednym ludziom.

.....

Noc.

Niema już nikogo z obcych.

Lokaj, który cały dzień stał przy otwartych, frontowych drzwiach zamknął

je na klucz i poszedł opowiadać swe wrażenia kucharce i młodszej przy wspólnej kolacyi.

A teraz i oni już śpią.

Całe mieszkanie pogrążone jest w ci-  
szy i ciemności, wyjąwszy salonu, gdzie  
wśród światła i zieleni Tenia spędza  
ostatnią noc pod rodzicielskim dachem.

Dziwny gość zabierze ją jutro do  
kościółka prawem oblubieńca.

Rodzice siedzą znów na swoich miej-  
scach i patrzą.

Wraz z nimi, w pół drzemiac, usiłuje  
czuwać siostra pani Antoniowej, znacznie  
od niej starsza, wdowa, mająca aż sześć  
córek dorosłych, z których dwie zaczy-  
niają już zlekka przekwitać.

Ta zacna kobieta odczuła serdecznie  
nieszczęście swej kochanej Zosi; jest tu  
ciągle, zajmuje się gospodarstwem, żało-  
bą, co spojrzy w stronę wzniesienia, ma  
ły w oczach i przypomina sobie z ro-  
dzajem strachu, jak to nieraz zazdrościła  
siostrze, że ma tylko jedynaczkę — ach!  
akże jej teraz nie zazdrości! — mimo to

gdzieś na dnie jej stroskanej duszy czai się jakieś osobliwe wrażenie, jakby jakiejś nieujętej pomyślności.

Sama przed sobą przyznać się do tego niechce; niemniej tak jest.

Bo istotnie; mąż zostawił ją w nieszczególnych interesach i troska o los tych bezposażnych panien, z których żadna dotąd nie może sobie znaleźć męża, zatruwa jej nieustannie życie.

Tymczasem ci biedni, biedni ludzie... bogaci i raptem bezdzietni... i prócz niej i jej córek nikogo z bliższych krewnych nie mający.

Ach! nie... cóż znowu...niechce sobie pozwalać na żadne stąd wnioski, zwłaszcza w takiej chwili—jednak myśl uparta wciąż do tych zestawień powraca.

I teraz także, ilekroć przymknie znużone sennością oczy, widzi defiladę szczęściu zięciów przyciąganą jak magnesem perspektywą sukcesyi.

Ale prędko budzi się z tych marzeń i, jakby zdjęta skruchą, podchodzi na palcach do siostry i szwagra okazać im swoje współczucie i troskliwość.

— Zosiu! przyniosę ci gorącej herbaty.

-- Panie Antoni! kieliszek wina! To was orzeźwi. Nie można tak czuwać naczczo noc całą...

Przedtem już gwałtem prawie wmu-siła w nich kolację, rada, że się posilili cośkolwiek.

I o babci pamiętała — sama zaniósła jej kotlecik i herbatę ze śmietanką.

Ale babcia była zamknięta w swoim pokoju i nie chciała jej wpuścić. Podziękowała przez drzwi łagodnym, prawie pokornym głosem, tak łagodnym i pokornym, że aż to zastanowiło skłopotaną matkę sześciu córek.

Babcia jest wogóle jakaś dziwna od chwili gdy się ta straszna rzecz stała.

Nie w tem, że ciągle modli się i płacze, ale jej zachowanie względem syna i synowej jest niepojęte.

Prostu zdaje się ich unikać. Nie przemówiła do nich jeszcze ani słowa, a jeżeli przypadkiem natknie się na które z nich w przejściu, wymija ich prędko nie podnosząc oczu i odwracając głowę.

W salonie nie była także i gdyby nie te łyzy i to trwanie na modlitwie możnaby sądzić, że obcą jest zupełnie temu co się w domu dzieje.

.....

Godziny wleką się ciężko... godziny, z których każda jest ostatnią tej doby przełomu pomiędzy tem co było, a tem co będzie.

Za oknami pozasłanianemi kirem umilkł już wszelki gwar uliczny.

Cisza... bezmierna cisza.

Światła płoną z leciuchnem skwierczeniem, które tylko taka cisza ujawnić może.

Raz po raz jakiś płomyk rzuci żywszy blask, wydłuży się i skurczy raptem, jakgdyby przebiegło po nim niewidzialne tchnienie.

Raz po raz jakiś uschnięty listek oderwie się od gałęzi i z motylim chrzęstem zsuwa na ziemię po liściastej kopule krzewu.



Raz po raz mdlejący kwiat wyda mocniejszą woń i zwiesza wyczerpaną głowę.

Dokoła tej jednej wielkiej tragedyi ludzkiego istnienia spełniają się drobne tragedye rzeczy martwych i niemych.

Wypalają się światła i więdną kwiaty...

Gdzieś w głębi mieszkania zegar wybija pierwszą.

Ten jeden krótki dźwięk rozwłóczy się przeciągłym echem wskroś milczących ścian, jak metaliczna smuga.

I wślad zatem dają się słyszeć stąpania.

Przez puste ciemne pokoje ktoś idzie drobnym, zawachanym krokiem i zbliża się do zamkniętych drzwi salonu.

Mimowoli czuwający podnoszą udręczone męką i bezsennością głowy i patrzą na siebie jakby w oczekiwaniu rzeczy nadzwyczajnej.

Rozpalona, sucha dłoń pani Antoniowej chwyta przysuwające się ku niej, instynktownym ruchem opieki ramię męża.

— Antosiu! Słyszysz?

Ale nim zdążył odpowiedzieć, drzwi otwierają się z lekkim stukiem i wchodzi babcia.

Dwie wyżarte od łez plamy czerwienią się na jej policzkach cytrynowej barwy.

Siwe włosy, zawsze tak starannie uczesane, jeżą się w nieładzie wokół zbrudzonego czoła i zakłęsłych skroni.

W obu pomarszczonych rękach niesie staroświeckie puzdro z wyłysiałego, niegdyś ponsowego safianu.

Puzdro jest otwarte i na jego poźółkłym od starości aksamicie cudny, korallowy strój płonie różową luną.

— Jezus, Marya! — szepcze, żegnając się nieznacznie wdowa z sześciu córkami.

Pan Antoni chce się zbliżyć do matki, ale ona ruchem stanowczym, prawie majestatycznym, wstrzymuje go w miejscu.

Coś majestatycznego a jednocześnie jakby pokorą przepojonego jest w niej całe.

Nie patrząc na nikogo, z oczyma

utkwionemi w jarzącą kopułę światła idzie ku wzniesieniu.

Lewą ręką przyciskając puzdro do wyschłej piersi, prawą, z dziwną w jej wieku siłą, rozsuwa ciężkie świeczniki i wazony i uatorowanym pomiędzy nimi przesmykiem wstępuje na stopnie.

Przez chwilę jej szczupła, starcza postać tkwi nieruchomo w powodzi świetlnych płomyków i zieleni, górując nad tą drugą młodzieńczą i martwą, niby tragiczny kontrast, a jednocześnie niby równie tragiczna synteza życia -- a stojący w dole patrzą na to z zapartym oddechem.

Zwolna, automatycznie opiera babcia puzdro o aksamitny kant białej skrzyni i wydobywając jeden po drugim klejnoty, w ten sam powolny, automatyczny sposób, poczyna stroić w nie uśpioną na zawsze wnuczkę.

Usta babci poruszają się przytem, jakgdyby szepcąc coś, co ona tylko, ta słodko uśmiechnięta dziewczeczka ma sły-  
czeć.

Pod wianek pomarańczowego kwiecica wsuwa babcia dyadem z kamei; w chłodne uszka zakłada kolczyki, na białym atłasie sukni rozpościera cudną robotę naszyjnika i pasa; złożone modlitewnie rączki obciąża szerokimi bransoletami.

I oto cały ten przepych lat tyle tak zazdrośnie, tak wprost drapieżnie strzeżony, dopełnia swego przeznaczenia.

Kameowa biel śmiertelnego wianka zaróżawia się delikatną łuną ukrytych pod nim koralu, a ściekające po śnieżnych draperyach kamee wyglądają jak struga krwi bladziuchnej z pod zastygłego serca wytoczona.

A babcia, zgięta nad swemi skarbami, które oddaje martwocie i zagładzie, i nad tą śliczną młodością, która także oddana jest martwocie i zagładzie, a z jej własnego istnienia się wywiodła, patrzy, patrzy gdzieś wskroś z nieopisanym wyrazem w wypłakanych oczach, jakgdyby z dna przeszłości podnosiły się ku niej i nagle widzialnemi stawały zakryte do-

---

---

tąd rzeczy, i bijąc się w piersi z ogromną, uroczystą skruchą, powtarza:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! Boże! bądź miłościw mnie grzesznej!

Warszawa, 11 marca 1909 r.





# List.

<http://rcin.org.pl>



Kuryer wypadł z jej ręki. ze starej, chudej, żółkłą skórą obciągniętej ręki.

Przechyliła się w fotelu, głowę oparła o poręcz i przymknęła powieki, zawsze lekko opuchłe i sine, zmęczone wieloletnią pracą łez.

Ale to co przeczytała wżarło się jej w mózg i tańczyło przed temi zamkniętymi powiekami, sznurem ognistych, palących liter.

Ogłoszenie, ramką żałobną objęte ogłoszenie w dziale nekrologii, całą szerokość stronicy zajmujące, takie, na jakie stać ludzi zamożnych, gdy się ich śmierć krewnym, przyjaciółom i znajomym zwiastuje i na ich pogrzeb zaprasza.

Ś. P:  
JERZY ZMIĘŃSKI

a potem cała litania tytułów i zaszczytnych urzędów.

Ale te jej nie obchodzą.

Kiedy go znała, nie był jeszcze żadnym dyrektorem żadnego towarzystwa, ani prezesem żadnej kasy, ani członkiem honorowym żadnej społecznej instytucji.

A dalej jeszcze:

„...zmarł po krótkich cierpieniach opatrzony ŚŚ. Sakramentami, przeżywszy lat 70... Msze święte za spokój jego duszy odprawiać się będą w mieszkaniu...“  
i t. d.

Siedmdziesiąt lat! Gdy się ostatni raz widzieli, miał trzydzieści!

Jak to dawno!

A ta rana wówczas otwarta sączy po dziś dzień kroplą za kroplą świeżą krew nigdy nie przetrawionego bólu, nigdy nie ugaszonej tęsknoty.

— Jerzy! — szepcą mimowoli jej usta

— Jerzy!

I nagle wzdryga się straszliwym lękiem i jakąś równie straszliwą nadzieją.

Tyle razy, tyle razy w ciągu tych długich lat rozstania rzucała w głuszę swego zmarnowanego życia to wezwanie, bez celu, bez odpowiedzi.

A teraz zdaje jej się, że on to usłyszeć musi i przyjdzie.

Uklęknie przy niej, ramieniem ją otoczy, do swojej piersi przyciągnie, jak niegdyś... jak niegdyś!

Nie słyszał jak go wołała latami całymi, nie słyszał w swym tryumfalnym przez życie pochodzie, on, człowiek czynu, działacz, mąż w społeczeństwie wybitny i szanowany; nie słyszał tego jęku, tej prośby jednego, kobiecego serca; ale teraz, gdy o kilka ulic stąd leży w trumnie i nic już wspólnego z tym światem nie mający, teraz właśnie usłyszy i... przyjdzie!

Jakie to dziwne jednak, że on umarł, a ona żyje jeszcze. Jest już przecie taka stara... o pięć lat tylko młodsza od niego.

„Staruszka“ mówią o niej wszyscy.

O! gdyby kto mógł widzieć te jej za-

mknięte, opuchłe powieki, z pod których płyną łzy, bujne łzy wiecznie młodego bólu; gdyby kto mógł słyszeć ten szept rozżęsknionego serca, poruszający jej bezbarwne, zapadnięte usta. Byłoby to niewątpliwie szalenie zabawne dla ludzi.

Ale co ją to może obchodzić.

Umarł!

Czyż dzisiaj dopiero?

W rzeczywistości od lat czterdziestu przestał dla niej istnieć. Nie spotkała go ani razu, choć mieszkali w jednym mieście i zapewne chodzili często jednymi ulicami.

Nie widziała jak się starzał, siwiał, jak mu twarz się marszczyła, oczy gasły, plecy garbiły.

Dla niej jest on zawsze pięknym, młodym Jerzym o bujnym, ciemnym wąsie i trochę surowo, ale tak szlachetnie patrzących oczach.

Jak on się uśmiechał... jak on się serdecznie umiał uśmiechać... Tak kochała jego uśmiech i jego głos... Zwłaszcza jego głos.

Więc cóż stąd że dziś dopiero dziennik w płatnem ogłoszeniu obwieścił, to, co się stało niegdyś .. niegdyś... przed laty.

Bez ogłoszeń, bez krepy, bez trumny, bez konduktu i śpiewów żałobnych, a taki straszny pogrzeb!.. Pogrzeb, za którym szła lata całe, ciągle, ciągle przez życie, aż traciła czasem świadomość tego. Dziwiono jej się, że jest zawsze taka bez energii, niezaradna, nieumiejąca nic przedsięwziąć, niczem się bardzo przejąć, bardzo ucieszyć, bardzo zmartwić; a to było właśnie dlatego, że tak ciągle szła za tym pogrzebem i taka tem była zmęczona.

Może teraz, gdy naprawdę pójdzie na Powązki i zobaczy jak trumnę spuszcza do grobu i szczelnie kamieniem przywalą, może teraz odpocznie.

Ale to już będzie zapóźno... odpoczynek jej i bez tego blizki... dzięki Bogu.

Jednakże to robi swoje takie ogłoszenie.

Myślała, że tak już wszystko było skończone, że tak się już nic stać nie

może... a tymczasem nie liczyła, że do-  
czeka jeszcze tego... Tej śmierci!

Tej śmierci faktycznej, brutalnie rze-  
czywistej, która wkroczy na cmentarz  
jej duszy i każe raptem ożyć najdrob-  
niejszemu wspomnieniu.

Bo gdy tak siedzi z głową opartą o  
poręcz fotelu, szepcząc jego imię, w  
dźwięk tych kilku liter tłoczy się cały  
przeciąg tego czasu, kiedy się znali i  
kochali... tych krótkich kilku miesięcy i  
wszystko, wszystko co się wtedy działo,  
w szczegółach tak drobiazgowych, że aż  
śmiesznych swą dokładnością bez zna-  
czenia.

Naprzykład ten łysy pan, który sie-  
dział naprzeciwko nich przy kolacyi w  
dniu ich poznania na publicznym balu...  
Boże jedyny! na balu!...

Ów pan wylał szklanekę czerwonego  
wina na obrus, taką obfitą strugą, że aż  
pod ich talerze pociekła.

Pamięta jak się mimowoli cofnęła w  
tył z krzesłem w obawie o swoją nową,  
białą suknię i jak on, tak samo mimo-

wolnie ramieniem poręcz krzesła podtrzymywał. Pamięta to dotknięcie sukna fraka ciepłem jego ciała przesyconego, na swych obnażonych plecach i ten dreszcz... pierwszy dreszcz miłosny.

Albo ten koń dorożkarski, który upadł na bruku i tak dyszał i żałośnie podnosił swą biedną uwięzioną w hołoblach głowę, tuż przy chodniku, którym szli pod rękę... o zmroku.

Zimno wtedy było i ciemnawo, deszcz mżył. Kamienie były mokre i oślizgłe a ludzie obłoceni i pod parasolami spieszący, a w ich duszach taka wiosna... taka wiosna!.. i taka woń fijołków.

A ten biedny koń tak się okropnie męczył... Litowała się nad nim... on wtedy delikatnie jej rękę z pod swego ramienia wysunął, uściskał ją przytem, zszedł na ulicę pomiędzy gapiących się i koniowi wstać pomógł. Silny był bardzo... Odprowadzał ją wtedy do domu, jej domu, którego progu on nigdy przestąpić nie chciał.

Ach tak! Tu tkwiła cała tragedia jej doli.

I cóż ona temu była winna, że oni byli tacy... ten jej ojciec, któremu jedni kłaniali się bardzo nisko, a inni nie kłaniali się wcale i ten jej brat, przez którego ktoś kiedyś odebrał sobie życie, przegrawszy do niego w karty cały majątek.

Cóż ona temu była winna? Ona przecież zawsze spała w najlepsze w swoim pokoju, gdy w salonie rozstawiano zielone stoliki, a matka ze starszą siostrą wydekoltowane i uszminkowane zabawiały tych z gości, którzy nie chcieli grać. Ona miała zawsze instynktowny wstręt do tych zebrań, choć długo nie wiedziała, nie podejrzewała w nich nic złego, i nikt jej do brania w nich udziału nie zmuszał.

Więc cóż była temu winna, że ich kochała takimi, jakimi byli, bo i oni kochali ją bardzo. Zwłaszcza ojciec... ten jej ojciec, któremu niektórzy ręki... Cóż stąd?... Był jej ojcem i takim dobrym zawsze. Gdy była małą, kieszenie jego



zawsze były wyładowane niespodziankami dla niej, a gdy dorosła, mogła się stroić i bawić, ile tylko zapragnęła.

A matka, którą często zrana widywała zapłakaną, choć wieczorami bywała zawsze uśmiechnięta i ślicznie ubrana, ta matka kochała ją tem zaślepionem, namiętmem uczuciem, jakie się miewa dla pierworodnego lub najmłodszego dziecka.

Więc jakże... opuścić ich... wyrzec się na zawsze. . zaprzecć!...

Ach! to było straszne — niemożliwe... A on tego żądał. Miarą tej ofiary mierzył prawdziwość i potęgę jej miłości.

I rozeszli się!...

O z jak straszliwą dokładnością pamięta każdą chwilę tego ostatniego widzenia się... w hotelu. To miało wszelkie pozory podejrzanej schadzki miłosnej, a było tylko terenem dramatu.

A potem ten list... ten list, który do niego pisała, i którego skończyć nie mogła i którego mu nigdy nie posłała...

Czemu?... czemu?... nie uczyniła tego!

Nigdy przedtem nie odsłoniła mu tak duży, swojej, jak w tym liście...

Gdyby go był otrzymał, może wszystko byłoby się ułożyło inaczej.

Okropny ból niepowrotności szarpnął jej sercem... Czemu!... czemu!...

— Jerzy! — szepcze rozpacznie — Jerzy! gdybyś ty był wiedział. .

Jakaś siła, ta sama siła, która jej dała to dziwne złudzenie jego obecności, każe jej wstać i podejść do, starego, pod oknem stojącego biurczka.

Jak zahypnotyzowana otwiera jedną z szufladek, z pod stosu mniej lub więcej pożółkłych papierów wydobywa kilka arkusików zapisanych drobnem, bardzo drobnem pismem.

Te są najwięcej pożółkłe, atrament wybladły, miejscami prawie zatarty, tam mianowicie, gdzie widać lekkie, rozlane plamy, jak od łez.

— Widzisz, Jerzy — szepcze — pisałam do ciebie... i nie wiedziałeś o tem... widzisz..!

Siada przy biurku, rozkłada arkusiki, jakby to czyniła dla jakichś niewidzialnych

oczu, które z poza jej ramion czytać mają i sama zwolna zaczyna chłonać w siebie te nanizane na sznureczki martwych liter dzieje swojego serca i swojej młodości...

*Warszawa. 14 lutego 18...*

Jerzy! Ty mi wybacz, że Ci spokój zamącam. Nie mam krzty ambicyi, że potem nigdy, jakie mi wczoraj rzuciłeś przy rozstaniu, odzywam się jeszcze do Ciebie. Ale ja nie mogę, nie mogę, nie mogę milczeć!.. Jestem takie biedne, słabe, nieuzbrojone do walki z życiem stworzenie i to mnie wyczerpało... zwyciężyło. .

I taka pustka... roztoczyła się dokoła mnie... taka straszliwa pustka.. Zamknęłam się w moim pokoju i błądzą po nim bezustanku jak potępiona, łamię ręce i powtarzam sobie: opuścił mnie! opuścił mnie!.. powiedział: „nigdy więcej widzieć cię nie chcę na tym świecie“. Patrzył na mnie, na tę głowę moją, którą tak kochał, słuchał tego mego głosu,

który mu był tak droгим i powiedział:  
„Nigdy więcej widzieć cię nie chcę“.

Tyś jest bardzo silny, Jerzy, tak silny, że aż do okrucieństwa. „Nigdy więcej“.

Ja nie mogę, ja nie chcę w to wierzyć! ja w to nigdy nie uwierzę. O! ja wiem, ja znam tę właściwość duszy ludzkiej, która w słabości drugiej duszy czerpie siłę swoją. Ja wiem, że te moje błagania tylko umacniać cię będą w Twojem postanowieniu, ja to robię bez celu, jak wszystko w życiu, robię, bo tak mi każe cała moja istota wewnętrzna, bo chyba bym się udusiła z tej męki, gdybym jej nie wyładowała w tym jednym, rozpaczliwym okrzyku: Jerzy! nie opuszczaj mnie! nie odchódź odemnie! Kochaj mnie, choć może tego nie jestem warta, bo taką, jaką ja jestem, taką byłam i taką ninie pokochałeś.

Jerzy! ja już nie rozumiem życia bez Twego serca!.. Ono jest moje... Tyś mi je dał.

A przytem... lzy, to taki sam dobry

pieniądz na rynku uczuć, jak złoto na giełdzie... Jerzy! ja przez Ciebie i dla Ciebie tyle łez w ciągu tych kilku miesięcy wylałam, że skąpać bym w nich mogła to wielkie, piękne, szlachetne serce Twoje, które mi jest tak drogiem.

Jerzy! ja to serce kupiłam za łzy moje... choćby za nic innego tylko za łzy moje kupiłam drogo; zapłaciłam najdroższą monetą duszy... płacę wciąż... to moja własność.

I ja jej sobie nie dam wydrzeć... nie dam... nie dam!

Ty nie masz prawa odbierać mi Twego serca! Miałbyś to prawo, gdybym ja je kopnęła, sponiewierała, ale ja od pierwszej chwili wiedziałam co trzymam w rękach i podnosiłam te ręce wraz z niem wysoko, ponad inne dobra ziemskie, umiałam je cenić i... właśnie dlatego... właśnie dlatego Jerzy!..

O! Boże miłosierny! co się to dzieje! Czemu odbierają mi mój skarb i moją własność? Przemówcież wy za mnie, wy łzy moje, które w tej chwili płyniecie,

upomnijcie się o swoją zdobycz. Jerzy! Ty masz porachunek z memi łzami. Przecież to być nie może, żebyś Ty odszedł odemnie, odszedł dlatego tylko, że zewnętrzne ramy mego życia są Ci wstrętne.

O! Jerzy! gdy się kogo chce z błota wyciągnąć, nie dość jest stać na suchym gruncie, w czystych i wyglansowanych bucikach i rękę doskonale wymyta, ręcznikiem obtarta, wodą kolońską naperfumowaną do niego wyciągać... Trzeba... trzeba, Jerzy, czasem w to błoto wleźć i w niem się unurzać samemu.

Ja ci przysięgam na co mam najświętszego, żeś mnie skrzywdził, że miłość Twoja nie jest ofiarną, że mogłeś się stać mojem szczęściem i mojem zbawieniem i nie chciałeś... nie chciałeś na cał ustąpić!

Widzieć mnie już więcej nie chcesz!.. nigdy!.. nigdy!

I dlaczego?... dlaczego... Toż całą moją zbrodnią jest to, że wplątana w kolo najsprzecznieszych uczuć szarpie

się, ociekam krwią męki serdecznej i taka biedna jestem... taka biedna!

O! Jerzy! Tyś chyba nigdy nie był w rozterce ze sobą samym. Ty chyba nigdy nie doznałeś tego, że jednocześnie można coś kochać i coś nienawidzić... czegoś pragnąć a czegoś innego nie módz się wyrzec i Ty nie wiesz, jaki ból, jaki straszny ból tkwi w takiej zagmatwanej tragedyi serca.

A przecież .. inna rzecz prawa fizyczne, a inna prawa serca i duszy...

Fizycznie, jak mi z wielką logiką dowodziłeś, nie może być tam dzień, gdzie jest noc i na odwrót, a ja Ci mówię, Jerzy, że są takie dusze nieszczęsne, dusze przeklęte, w których dzień i noc wciąż walkę ze sobą toczą i oboje pracują i żadne zwyciężyć nie może i na to rady niema i ta dusza męczennica wisi tak między tymi dwoma światami życie całe...

Jerzy!.. nie pogardzaj mną i nie znienawidź mnie za to, że ja wbrew zaka-

zowi jeszcze do Ciebie kołacę, jeszcze się o Ciebie upominam.

Jerzy!.. to silniejsze nademnie. Ja Ciebie... o Boże Ty mój miłosierny... ja Ciebie — — Nie! nie! Ty w to nie uwierzysz, bo Ty mnie nie rozumiesz, jak ja Ciebie czasem nie rozumiem; ale mnie to nie przeszkadza czuć czem jesteś dla mnie; ale ja z własnej woli nie powiedziałabym Ci nigdy: Nie chcę Cię więcej widzieć!..

*16 lutego.*

Noc... Taka już późna, głęboka noc. Sama jestem zupełnie. Wszyscy moi wyszli do teatru a potem na kolacyą w restauracyi. To się zwykle długo przeciąga. Ja się wymówiłam niezdrowiem, w co łatwo było uwierzyć, boć przecież ja od dwóch dni jestem wprost nie do poznania.

Rozstałam się z Tobą tak spokojnie na pozór, u stopnia tej dorożki, do której mnie wsadziłeś i jechałam sobie, jakby nic się nie stało; nie myślałam o ni-



czem; nie czułam nic, dopiero gdy weszłam do domu i służąca uknęła przedemną, aby mi zdjąć kalosze, przypomniałam sobie kto mi je nakładał — po raz ostatni — i tak samo klęczał przedemną — po raz ostatni — i ledwo drzwi mego pokoju za mną się zamknęły, wybuchnęłam tak strasznym płaczem, że myślałam, że mi chyba oczy z potokami tych łez wypłyną.

Dwa dni już minęło, a te łzy leją się i leją bezustanku a ja kryć się z nimi muszę i kłamać jakieś nieistniejące dolegliwości... i chwilami do jakiego takiego spokoju się zniewalać!

I ten przymus jest mi tak okropnym, tak całej mojej istocie przeciwnym, że teraz ja, która tak nienawidzę samotności, czuje ulgę prawdziwą, iż jestem tak zupełnie sama w domu.

Chociaż — nie; nie jestem sama; obłożyłam się listami Twymi, odczytuje je i one dotrzymują mi towarzystwa w tę ciłą, pustą noc.

Te cudne, ukochane, dobre listy!

Jak Ty mogłeś żądać odemnie, żebym je zniszczyła! jak Ty mogłeś na chwilę przypuszczać, że ja to uczynię.

Tak. Tyś mi moje oddawał, i moje fotografie i moje włosy, a gdym ich brać nie chciała, powiedziałaś, przysięgłeś, że choć to będzie straszliwym bólem dla Ciebie, spalisz je sam. I powiedziałaś jeszcze, widząc mój wzrok pełen niedowierzania i grozy, że Twoja miłość dla mnie jest za wielką, aby się mogła przemienić w coś pośredniego. Że albo wypełni całe życie, stanie się jego motorem i jego treścią, albo musi być wyrwaną z korzeniem i zapomnianą...

Może... może masz słuszość; ale ja, ja nie umiem być takim mądrym, praktycznym chirurgiem swego serca, jak Ty.

I pomimo wszystkiego nie wierzę, żebyś Ty to uczynił. Jakto? Ty na prawdę zdobyłbyś się na to, żeby spalić moje włosy... spalić część mojej istoty... Torquemado!

Nie rób tego!.. toż to już poprostu znęcanie się. . Cóż Ci one zawiniły? Nie

chciałam Ci ich dać, pamiętasz? miałam przesąd, że to nieszczęście przyniesie... śmiałeś się ze mnie, więc Ci ustąpiłam jak zawsze... a dziś...

O! Jerzy! mnie się w głowie mać... Czy to być może, żebyś Ty, któryś tak do mnie pisać umiał, tak czuł i rozumiał miłość prawdziwą, żebyś Ty naprawdę powiedział mi: „Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na tym świecie“.

Jerzy! na Chrystusa zaklinam Cię cofnij to słowo. W tem życiu jedna tylko śmierć jest nie cofniona, poza tem wszystko.

Ja Cię błagam nie karz mnie tak srogo. Ty nie wiesz, Ty nie masz pojęcia ile mi złego wyrządzasz.

Wszak Ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą i to słabą bardzo. A Ty jesteś taki silny i w duszy zrównoważony.

Jerzy! ulituj się nademną... a może i nad sobą samym. Boć przecie i Ty cierpisz i Ty zadajesz sobie męczarnie. To niepodobna, żebyś Ty nie tęsknił także, nie pragnął mnie widzieć...

To nie prawda coś mi powiedział...  
Tyś skłamał. Moje łzy mi to mówią...  
moje łzy...

*28-go lutego.*

Dwa tygodnie minęło od naszego rozstania, a mnie gorzej z każdym dniem, z każdą chwilą, Jerzy! ja tak tęsknię za Tobą, za Twoją miłością, która odeszła odemnie i już nie krąży nad mą osamotnioną głową, że Ci tego nigdy opisać nie potrafię.

Nie płaczę już; na razie wyplakałam wszystkie łzy moje, ale zato mam taki straszliwy kurcz w gardle ciągle i taki ciężar na piersiach, że cierpię jeszcze więcej. I ta potrzeba udawania... silenia się na spokój, by nie budzić troskliwości tych, którzy mnie kochają, by uniknąć ich pytań i spojrzeń badawczych, które, choć serdeczne, ranią gorzej niż noże najostrzejsze.

Jerzy! jak Ty mogłeś skazać mnie na takie katusze.

Ja Ci miałam tyle, tyle do powiedzenia, gdym szła na to ostatnie spotkanie i nie powiedziałam nic. .

O! bo czy ja wiedziałam, czy mogłam przypuścić. Tyś mi mówił, Tyś mi pisał: „Miłość prawdziwa wszystko zniesie, wszystko przetrwa“. Ja nie obliczałam, ani mierzyłam. Ja nigdy tego nie brałam w rachubę, żebyś Ty mi mógł powiedzieć: „Nigdy więcej widzieć cię nie chcę na tym świecie“.

I gdyś mi to mówił tam w hotelu, trzymając w rękach mój żakiet, patrząc na mnie tak spokojnie, ja chwyciłam tylko dźwięki tych słów, ale ich znaczenie nie szło mi do duszy.

Bo gdyby mi było szło, jak idzie teraz, gdy już tyle dni minęło, to ja... nie byłabym wyszła z tego pokoju... Ja nie wiem – ja byłabym znalazła w sobie moc przekonania Cię, że nie możesz, nie masz prawa tego czynić, że to przecież zbrodnia... największa w świecie. zbrodnia zabijać własną miłość. Byłabym umiała zmusić Cię, byś w moją [uwierzył, po-

mimo że na tę jedną ofiarę, jakiej od niej żądałeś, zdobyć się nie mogła.

Jerzy! ja zrobię wszystko, wszystko... W nędzy żyć z Tobą będę, w poniewierce, tylko tego... tego..

O! Boże jedyny!.. czyż trzeba było dlatego od razu wszystko targać, zrywać, niszczyć, palić!!.. O! jakiś Ty bezwzględny, jakiś Ty okrutnie bezwzględny!

Nie! nie! ja Ci żadnych wymówek czynić nie chcę! To była może moja wina... Wina mego pozornego spokoju... wina tego, że Ci nie umiała, a raczej, że się wstydziła pokazać Ci całą głębię, całą potęgę mojej miłości...

Ale teraz, gdy się dowiesz, gdy ten list przeczytasz, wrócisz do mnie? Prawda, Jerzy, wrócisz?...

*5-go marca.*

Codzień chcę wysłać ten list i zwlekam. Zdaje mi się, że jeszcze nie wszystko powiedziałam, że następny dzień przyniesię mi jakieś silniejsze zaklęcia,

że znajdę jakieś nowe słowa, które dokonają cudu wrócenia mi Ciebie, albo, albo, że co byłoby może za wielkim szczęściem, żeby się stać mogło, że Ty sam odezwiesz się do mnie... że się przekonasz... żeś był za okrutny dla mnie i... dla siebie.

I jest jeszcze jedno. Ja się boję, Jerzy, straszliwie się boję.

Ja tyle przecierpiałam przez to rozstanie, że gdyby ten list pozostał bez skutku, to byłoby dla mnie jakby powtórzeniem już raz spełnionego wyroku śmierci.

I czuję, że nie miałabym siły tego znieść, nie umiałabym przeżyć Twego milczenia, Twojej zawziętości.

A póki ten list jest u mnie, zdaje mi się, że jeszcze nie wszystko stracone, że mam jeszcze nie wygrany atut w rękę, który rozstrzygnie w tej grze o całą moją przyszłość, o moje szczęście... więc zwlekam i czekam aż się trochę uspokoję, trochę nabędę męstwa, boć przecie to moja ostatnia nadzieja...

Póki ona nie zgasnie, mam o co zaczepić nieziszczoną tęsknotę moją... mam narkotyk, którym odurzam zbyt gwałtowne paroksyzmy mej rozpacz, bo inaczej, inaczej...

Na tem urywa się list.

Kobieta opuszcza głowę na piersi i pogrąża się w głębokiej zadumie.

Tak. Zwlekała, nie miała odwagi; iskrę tej ostatniej nadziei pielęgnowała, aż ją samo życie i jego zdarzenia wytłiły; swój nie wygrany atut trzymała zazdrośnie w ręku aż sam los wycofał karty z gry...

A dziś!.. O! jakże przeklina swoją małoduszność. Bo cokolwiek bądź byłoby się stało, choćby nawet ten krzyk rozpacz jej duszy pozostał był bez celu, on powinien był go usłyszeć...

Nagle wzdryga się gwałtownie.

W tem straszliwym rozdarciu ran przeszłości nerwy jej są tak przeczulone, że podlegają dziwnym, niepojętym złudzeniom.



Bo zdaje jej się, wyraźnie jej się zdaje, że jakaś ręka, zimna, trupio zimna ręka dotknęła jej ramienia i jakiś głos, dobrze znany głos, wyszeptał:

— Daj mi ten list!

I znowu jak zahypnotyzowana, wstaje od biurka, chowa na piersiach poźółkle arkusiki, nakłada czarny, trochę zrudziały kapelusz i skromne, niemodne okrycie, jakie noszą stare kobiety, które uważają, że nowych rzeczy kupować już nie warto i raz jeszcze rzuciwszy okiem na ogłoszenie, wychodzi.

\* \* \*

Po szerokich, dywanem wyłożonych schodach w górę i na dół snują się liczne postacie. Wytworne damy i eleganccy panowie, kobiety w chustkach na plecach i mężczyźni w tanich paltotach ze zgrubiałemi od pracy rękoma. Tych ostatnich jest może najwięcej.

Cały ten tłum milczący i poważny znika w otwartych na rozcież drzwiach

pierwszego piętra, u których stoi lokaj i od czasu do czasu kłania się głęboko i w milczeniu niektórym osobom.

W obszernym, z wielkim smakiem urządzonym przedpokoju wytwarza się chwilami formalny ścisk, ścisk bez gwaru z unoszącym się nad nim cichem, urywanem szeptaniem.

Wmieszana w tę ciżbę kobieta w zrudziałym kapeluszu i niemodnem okryciu wciska się do wielkiego na żałobny przybytek zamienionego salonu.

Od razu kieruje się w najciemniejszy kąt, klęka i pozostaje tak długą chwilę ze spuszczoną głową, z oczyma uparcie wbitemi w ziemię.

Gdy je podniesie, ujrzy go, a raczej to co z niego zostało.

On dotrzymał swej przysięgi, nigdy więcej nie widział jej i nie zobaczy na tym świecie; ale ona nie przysięgała, ma prawo...

I spodziewała się ciągle, że jednak zobaczy go kiedyś, i oto... za chwilę nadzieja jej spełniona będzie.

Ale ona oddalała tę chwilę... Czekala tak dlugo, czterdzieści lat; poczeka jeszcze... troche, pare minut.

Serce jej bije tak gwałtownie, że aż szeleszcza ukryte na niem poźółkle arkusiki...

Wreszcie nagłym, zdesperowanym ruchem podnosi głowę.

W pierwszej chwili nie widzi nic, prócz góry zieleni, światel, wstęg białych, czarnych i liliowych, wijących się jak płaskie, martwe węze, wśród kwiecia poskładanych już u trumny wieńców.

Te światła rzucają się w jej splakane źrenice dziko i okrutnie, jak gdyby były drapieżnymi ptakami chcącymi wydziobać jej oczy; woń mdlejących w dusznem powietrzu kwiatów, zmieszana z zapachami perfum, jakie wytworne damy wnoszą ze sobą, chwyta ją za gardło, niby obręcz dusząca.

O! jak jej okropnie! jak jej okropnie!

Zdaje jej się, że nie wytrzyma i wybuchnie ogromnym krzykiem swej czterdziestoletniej tęsknoty i rozpacz.

A jeszcze nie widzi nic.

To jest tak... spostrzega płaskie, długie pudło, a na białym atłasie wnętrza czarny i sztywny kształt i złożone pośrodku woskowo żółte ręce, jego ręce.

To one, te same... które tuliły ją do tych nieruchomo wyprężonych na wznak piersi.

Boże! Boże!

Z tego miejsca, gdzie klęczy, nic więcej zobaczyć nie może.

Na kolanach czołga się kilka kroków dalej i wychyla poza stojące przed nią osoby.

Nikt na nią nie zwraca uwagi i to jest dobrze, bo inaczej ta stara, tragiczna twarz kobieca musiałaby obudzić ciekawość i zdumienie.

Nareszcie, nareszcie...

Wśród girlandy drgających płomyków ostry, suchy profil zmarłego ukazuje się jej jak zakrzepła wizja tego wszystkiego, co było niegdyś życiem, młodością, urodą mężką, ukochaniem jej oczu, rozkoszą jej ust...

Jakaś przeogromna dal zdaje się ją otaczać i przesłaniać, dal nowego bytu, z którym ci wszyscy żywi, dokoła snujący się wraz ze swemi ludzkiemi uczuciami, nic wspólnego nie mają.

Usta kobiety drżą dla niej tylko do słyszalnym szeptem:

— Jerzy!.. To ty... Czy to podobna... Jerzy!.. Taki nie ty, taki niczyj i dlatego taki mój... Jerzy!.. przyszłam... przyniosłam ci mój list... Zabierzesz go ze sobą...

Dźwiga się z klęczek, wyciąga już rękę, aby rozsunać stojące przed nią osoby i dopiero teraz, jakby w nagłym olśnieniu rzeczywistości poznaje, że ten zamiar tak na pozór łatwy i prosty, jest w gruncie rzeczy prawie nie do uskutecznienia.

Tak było zawsze w jej życiu. Wszystko na pozór łatwe, proste i... niewykonalne.

Jakże jej to iść, rozpychać ten tłum, odstawiać ciężkie świeczniki i rośliny, wdrapywać się na stopnie, pod spojrze-

niami tych wszystkich zgromadzonych tutaj obcych ludzi!...

Jak mogła nie pomyśleć o tem, nie zastanowić się...

Jak w życiu, tak w śmierci pomiędzy nim a nią stoi zaporą; i jak w życiu, tak w śmierci usunięcie jej do niej należy.

Cofa się znów w swój kącik zmartwiona, bezradna, wahająca się jak zawsze.

— Poczekam — myśli — czekałam tyle lat... poczekam jeszcze... Muszą się rozejść przecież... poczekam...

Dotychczas widziała tylko to, co bezpośrednio miało związek z nim; teraz powoli zaczyna spostrzegać te i owe dalszoplanowe szczegóły.

☞ Ludzi wciąż pełno w tej obitej kirem, mdłemi woniami i leciuchnym szmerem dyszącej przestrzeni i zmieniają się tylko: jedni wychodzą, drudzy wchodzą.

Jest przecież jedna grupa wciąż pozostająca na swoich miejscach.

W głębi salonu na fotelu siedzi niemłoda, ale jeszcze smukła i zgrabna w swej żałobnej sukni kobieta. Głowa jej

bujnymi, ciemnymi włosami okryta, wspiera się na rękę; oczy i część twarzy zasłonięte ma białą, zmoczoną od łez chusteczką.

Obok niej stoją dwie śliczne, młode kobiety i niedorośła, jasnowłosa dziewczynka; wszystkie w czerni; dwóch małych chłopczyków tuli się do jej kolan...

Jedna z młodych kobiet nachyla się ku nim często, pieścotliwie delikatną ręką gładzi ich złote włoski i coś im szepcze z wyrazem ogromnej tkliwości w swej bladej, smutnej twarzyczce.

Raz po raz od tłumu, snującego się dokoła trumny, odrywa się ktoś i zbliża do tej grupy.

Mężczyźni chylą się nisko przed siedzącą na fotelu kobietą i całują ją w rękę, składając głębokie ukłony jej towarzyszkom; niektóre z pań czynią to samo lub zamieniają z niemi milczące uściski dłoni.

Wsunięta w swój kącik samotna, stara kobieta, na którą nikt uwagi nie zwraca

ca, śledzi to wszystko głodnemi, rozpacz-  
nemi oczyma.

Domyśliła się od razu: To jego żona...  
dzieci... wnuki...

Wiedziała, że się ożenił w jakieś dzie-  
sięć lat po rozstaniu z nią, z panną ślicz-  
ną, młodziutką, bogatą. Był już wtedy  
bardzo znany, bardzo ceniony, w pełni  
powodzenia i zasług.

Ta kobieta mogła być dumną, że taki  
człowiek uczynił ją swoją żoną.

Czy jednak kochała go tak jak ta,  
dla której stał się wszystkim, wtedy  
jeszcze, kiedy świat się o niego nie  
troszczył?...

Czy on, w swem szczęściu domowem  
szukał na to odpowiedzi?... czy ją zna-  
lazł, jeżeli nie tu, to może teraz, tam,  
gdzie wszystkie najzawikłańsze zagadki  
bytu stać się mają jasne i rozwiązalne  
dla zaświatowej świadomości.

Wyplakane, opuchłe oczy starej ko-  
biety przenoszą się z rodzinnej grupy  
zmarłego na jego ostry, sztywny profil,  
wzniesiony wysoko ku sufitowi na pod-



łożu zieleni, kwiecica, w aureoli złocistych płomyków.

Tak! Może teraz przejrzał... może zrozumiał...

Oto stanęły naprzeciwko siebie rozgrodzone jego trumną te dwie dole niewieście, których główną sprężyną był on...

Ta jedna, z którą podzielił swój ziemski byt; której dał poznać pełnię i rozkosz życia i wraz z nią nawiązał łańcuch nowych istnień, którym przyszłość coraz nowe ogniwa dodawać będzie; i ta druga samotna, bezcelowa, niepotrzebna, którą złamał, wyjałowił, zmarnował...

To są jego dzieła: dzieło siły twórczej i błogosławionej, szczęsnej i dzieło siły niszczącej, przeklętej, oplakanej...

U stóp jego trumny spotkały się i z nim na sąd Sprawiedliwości Przedwiecznej idą...

. . . . .

Mijają minuty, kwadranse, mija godzina... jedna... druga...

Ona czeka.

Kłęczy wciąż wpatrzona w kamienne rysy zmarłego, przeżywając po raz drugi Golgotę bezpłodnych mąk tych minionych lat.

Serce jej bije coraz prędzej, coraz rozpaczniej pod pożółkłymi arkusikami, krwią jego pisanymi.

Wszystkie jej duchowe władze zogniskowały się w pragnieniu spełnienia tego, z czym tu przyszła.

W jej biednym, zgorączkowanym mózgu, ważność tego czynu urosła do nieproporcjonalnych rozmiarów.

Zdaje się jej, że te nędzne resztki egzystencji, jakie jej jeszcze zostały, od tego zawisły...

Przecież to niepodobna, aby nawet ta ostatnia, lekka pociecha odmówioną jej była...

Straciła wszystko... wszystko jej zabrano, niczego już nie żąda, ale to jedno, to jedno musi się stać.

Raz po raz podnosi głowę i rozgląda się po salonie.

Pusto się tu czynić zaczyna... wszyscy się rozchodzą.

Może i tamta odejdzie w głąb mieszkania. Córki nakłonią matkę, aby się posiliła i spoczęła; dzieci także jeść i spać potrzebują.

Wtedy... wtedy skorzysta z chwili samotności.

Może potrafi prześlizgnąć się pomiędzy roślinami i świecznikami nie ruszając ich z miejsca; upatrzyła już sobie taką wolniejszą dróżkę. Jest taka chuda i drobna...

Cicho, ostrożnie pochyli się, list swój pod klapę fraka wsunie... głęboko... żeby go nie dostrzegli, ciepłem swego serca, w tych starych arkusikach ukrytem, pierś jego zakrzepłą po raz ostatni ogrzeje, ucałuje to martwe czoło... szepnie mu: „do widzenia Jerzy“ i pójdzie sobie.

Wróci do swojej samotni, swojej pustki... może już nie na długo.

Wyprzedzi tamtą—o tyle jest od niej starszą i Bóg tylko wie kto tam komu będzie bliższy w wieczności.

Ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna modlić się żarliwie o ten blizki koniec i to połączenie zagrobowe, gdy wtem sły-  
szy nad sobą cichy, męski głos, mówiący:

— Przepraszam panią.

Z gwałtownem wzdrygnięciem się, tak ten głos jest jej znany, podnosi głowę i spogląda.

Przed nią stoi młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna, który musiał wejść tu niedawno. Nie zauważyła go dotąd, a byłaby go spostrzegła od razu wśród tysiąca innych twarzy.

Bo to jest on... jej Jerzy, nie ten, którego zimny, sztywny kształt spoczywa na białym atlasie w girlandzie złocistych płomyków, lecz Jerzy jej młodości, taki, jakim go po raz ostatni przed czterdzie-  
stu laty widziała.

Te same oczy, nieco surowo a tak szlachetnie patrzące, ten sam ciemny, bujny wąs, te same śliczne usta, za któ-  
remi przetestowała życie, ten sam głos, za którym byłaby szła na kraj świata.

Przez chwilę całą jej istotą wstrząsa nieopisany, nieprawdopodobny, wsteczny skok w zmartwychwstającą cudem przeszłość.

Na jedno czarodziejskie mgnienie oka czuje w żyłach płomienną krew swych dwudziestu pięciu laty, oczy jej poczynają gorzeć, wyschłe wargi pęcznieją rozchylając się uśmiechem szczęścia, jak pękający nagle z chropawych osłonek kwiat.

Młodzięcza sprężystość wyprostowywa jej drobną, schyloną postać... chude, pomarszczone ręce splatają się u piersi ruchem miłosnego zachwyty.

Wszystko znika gdzieś: kiry, trumna, światła żałobne, jej własna sterana dola, osamotnienie, starość...

Jest tylko on, który wrócił do niej i jej miłość, która go ciągle czekała.

— Jerzy!..—szepcze nieprzytomnie — Jerzy!..

Młody mężczyzna patrzy na nią ze wzrastającym zdumieniem.

Skąd ta dziwna, obca staruszka może znać jego imię, które wziął po ojcu?

Ale nie ma zamiaru dochodzić tego. Jest tak zmęczony tym dniem ciężkiego smutku i przedpogrzebowych zajęć.

Zresztą szeptała tak niewyraźnie, może się nawet przesłyszał.

— Przepraszam panią — powtarza — już późno. Zostali tylko najbliżsi...

Złudzenie momentalnie pryska.

Jak uderzona obuchem, wyprostowana przed chwilą postać kobieca pochyła się, kurczy, maleje... Oczy gasną; bolesny skurcz ściąga wargi i wtłacza je w sieć zmarszczek, które uśmiech zachwyty był rozpędził. Jest znów starą, samotną, a nadewszystko obcą i zbyteczną.

Szybko, o ile drżące kolana pozwalają na to, dźwiga się z klęczek.

— To ja... to ja przepraszam — bełkoce — nie wiedziałam... bardzo przepraszam.

I zgarbiona, z oczyma wbitemi w ziemię, nie ośmielając się już spojrzeć ani na żywego ani na umarłego, wychodzi...

Pod uderzeniami targniętego ostatnim  
zawodem serca szeleszczą tragicznie po-  
żółkłe arkusiki listu.

Tak tedy nie sądzonem jej było do-  
ręczyć go temu, do którego był pisanym,  
nawet po śmierci.

Warszawa.







Ta ostatnia kropla.



Z poza wysokich, szarych murów oficyn zachodnia łuna rzuca się krwawo-złocistym odblaskiem na zawieszony nad podwórzem kwadrat nieba.

Srogi upał konającego, sierpniowego dnia paruje w zacieśnionem powietrzu dławiacemi za gardło wyziewami..

Nad nierównym, czerwonawym od spiekoty brukiem tańczą brudno-rude pyły. Ustawiony w jednym rogu śmietnik otwiera tryumfalnie swe ziejące wstrętną wonią wnętrze, zasilane raz po raz daniną nowych odpadków, które mu znoszą wybiegające z tej, lub z owej sieni sługi.

Dziewczęta te, przeważnie zasmolone, z pozakasywanemi na opalonych łokciach rękawami, muszą mieć bardzo zaharto-

wane powonienie, bo chętnie przystają w pobliżu tego siedliska wszelkich zaraz i wsparte o drewnianą, ociekającą brudem krawędź, zarzuciwszy na ramię równie brudny i cuchnący koszyk, toczą ożywione, hałaśliwym śmiechem przerywane gawędy.

Zdawałoby się rzeczą zupełnie niemożliwą, aby ten śmietnik i te koszyki z odpadkami mogły komukolwiek przywieźć na myśl marmurowe cysterny i cudne amfory, bujające się na alabastrowych, wdzięcznie zaokrąglonych ramionach heleńskich dziewic.

A przecież to dziwaczne skojarzenie wyobrażeń odbywa się w umyśle niemłodej kobiety, siedzącej z pieskiem u otwartego okna na trzecim piętrze przeciwległej oficyny.

Siedm lat już tam mieszka; przez siedm lat w wiosenne i letnie wieczory siaduje tam z małym pinczerkiem u otwartego okna, od siedmiu lat stara się nie widzieć tego obrzydliwego śmietnika i zawsze, zawsze, wzrok jej, kołując się

w podwórzowej ciasnocie, zawadzi o niego i zawsze wtedy przypomina jej się ta słoneczna Grecja, którą zna tylko z obrazów i książek i do której niewiadomo czemu tęskniła przez całe życie.

Ta tęsknota jest prawie równie śmieszna i niewytłumaczona jak wizje marmurów zaróżowionych ostatnimi promieniami słońca, kryjącego się za Akropolis, jak wizje źródeł Kastalskich, szklaną muzyką bijących w blade ściany oliwnych gajów, jak wizje złotowłosych, w bogate skręty trefionych główek, osadzonych na szyjach, krórych boskie kształty są dziś nie do ujrzenia, jak te wszystkie wizje, wywołane widokiem sprośnego pudła i rachitycznych dziewczyn, o wykoszlawionych od miejskiego bruku nogach i beczelnych gębach, zjedzonych przez miejską, płaską, obrzydliwą nędzę i rozpustę.

Zkąd? Dlaczego?

Jest to niby nic... drobnostka, ale zarazem jest to jedna z wielu niepojętych a okrutnych zagadek, które poszarpały

na strzępy jej dolę bezradną, jak stado kruków rozszarpuje bezbronno trupa.

Bo jakim sposobem doszło do tego, że znalazła się tutaj, w tem lichem, ciasniutkiem mieszkanku, zawieszonem nad tem wstrętnem, cuchnącem podwórzem?

Trwa to już lat siedm i przez lat siedm ani tego zrozumieć, ani się z tem oswoić nie umie.

Była przecież jedynaczką zamożnych rodziców, poszła za mąż świetnie, sama miała w sobie kopalnię złota, głos prześliczny, sopranowy, zadatek wspaniałej artystycznej kariery, nie spotkała ją żadna taka materialna katastrofa co to odrazu zmienia całą egzystencję, i tak się to jakoś wszystko rozeszło, zmarnowało, znikło...

A tak jej zazdroszczono niegdyś!

I było czego.

Miała urodę — wielką nawet urodę — talent, majątek, staranne wychowanie, kochających rodziców, a potem ubóstwiającego ją męża, dobre i ładne dzieci... ale te cenne dary losu były dla niej niby

owoce Martwego morza: piękne i soczyste z pozoru, a za dotknięciem rozsypujące się w próchno.

Bo cóż z nich pozostało?

Nic! Żadnego dorobku na starość, żadnego śladu, tak dalece, że czasem ogarnia ją dziwaczna wątpliwość, czy istotnie wszystko to działo się w rzeczywistości, czy tylko było snem pięknym a rozwianym.

Bywa jednak, że gdy rozmyśla nad swoim dzieciństwem, wydaje jej się ono jakby brzemiennie zapowiedzią obecnej niedoli.

Urodziła się dzieckiem niemłodych rodziców, spóźnionym kwiatem miłości, która w oczekiwaniu i walce o swe uwieńczenie daleko za sobą zostawiła lata wiosniane.

Ojciec był spadkobiercą pięknego, starożytnego nazwiska i dość pokaźnej fortuny. Rodzina liczyła na niego, że świetnym ożenkiem podniesie splendor wygasającego rodu. On tymczasem zakochał się w ubogiej nauczycielce swej

małej siostry. Pospolita dosyć historia, tylko w jego wypadku rozwijała się i zakończyła niepospolicie. Młodzieniec był wytrwały, nauczycielka dumna.

Kochała go, lecz nie chciała poślubić, wiedząc, jak ten związek niepożądany był zwłaszcza jego matce, kobiecie ambitnej, bałwochwalczo, lecz samolubnie miłującej syna i schorowanej. Takie małżeństwo, obracające w niwecz jej światowe rojenia, mogło ją zabić.

Czekali więc na siebie całe ćwierć wieku, a gdy się wreszcie po śmierci matki połączyli, mieli razem około stu lat.

Pomimo to urodziła im się córeczka — ona właśnie!

Jak dziwnie dźwięczał jej dziecinny szczebiot, wplatający się w poważną mowę tych dwojga znużonych życiem ludzi!

Pamięta dobrze, jak po sklepach, na spacerach brano ją zawsze za wnuczkę własnej matki!

Nie miała nigdy rodzeństwa. Może inna, na jej miejscu cieszyłaby się tem



jedynactwem, tym przywilejem niepodzielności w sercach i mieniu rodziców.

A ją to tak gnębiło?

Tak jej było smutno w tym pięknym, cichym domu, tak tęskniła za rodzeństwem, tak płakała, gdy mali goście, których jej czasem spraszano, wracać musieli do siebie!

Zanosila się szlochaniem, jeśli ją przypadkiem pozostawiono samą choćby w ogrodzie pełnym kwiatów, lub w pokoju pełnym zabawek.

Prostu bała się samotności, jak inne dzieci boją się ciemnicy.

— Powiedz, córeczko, czego chcesz?  
— pytali ją nieraz rodzice, widząc ją taką smutną.—Co ci kupić?

Wtedy prosiła ich:

— Braciszka chcę! siostrzyczki!

Oni zaś spoglądali na siebie, uśmiechając się z żalem.

Ale gdy dorosła, pragnienie to ustąpiło innym tęsknotom.

Jej śliczny głos, kształcony przez naj-

lepszycy nauczycieli w Warszawie, rozwijał się cudnie.

Jeden z tych panów nieopatrznie rzucił przy niej wyraz: scena.

Nie taił, że taki materiał wymaga specjalnych studjów pod kierunkiem zagranicznych mistrzów. Miała wszelkie dane, żeby zabłysnąć jako pierwszorzędna gwiazda operowa!

Ale rodzice byli przeciwni. Nie opierali się wręcz; perswadowali tylko:

— Są już starzy!.. matka tak często zapada na zdrowiu. Ojciec też schorowany. Gdzież im ganiać z nią po świecie w gorączce artystycznego życia! A puszczać ją samą... choćby pod najtroskliwszą płatną opieką... gdy może już tak niedługo cieszyć się nią będą... Niech poczeka trochę... Będzie jeszcze miała czas na wszystko.

Ustała. Nie z takiego wyrachowania, lecz jedynie dlatego, że serce było i miało być zawsze najwyższym arbitrem jej postępów.

Zresztą, gdyby była trafiła na zakaz

wyraźny, byłaby się w niej może ozwała  
chęć do walki. Ale oni prosili tylko i  
rzeczywiście byli już tacy starzy!

Jakaż sława osłodziłaby jej gorycz tej  
myśli, że im ostatnie lata zatręła pustką  
i opuszczeniem!

Więc zepchnęła na dno duszy oso-  
biste pragnienia, a ponieważ staruszkowie  
potrzebowali ciągłej kuracji, więc jeździła  
z nimi do różnych badów i spacerowała  
wolniutko po cudnych promenadach, od-  
pędzając cisnące się uparcie do myśli  
fantasmagorje bujnego, artystycznego ży-  
cia, oprawnego w wieńce, oklaski i swo-  
bodę.

W jednej z takich kąpielowych miej-  
scowości poznała swego przyszłego męża  
i rojenia te pierzchły przed potężną ja-  
wą miłości, która powodzą pierwszego  
uczucia zalała jej młode serce.

Och! jakże ona kochała tego piękne-  
go, szlachetnego młodzieńca o mądrych  
szarych oczach i dobrych, ponsowych  
ustach!

Czemże dla niej były hałasliwe, prze-

mijające hołdy obojętnych tłumów wobec cichego hołdu tego jednego serca, kładącego się do jej stóp na zawsze.

Jemu już tylko pragnęła śpiewać... dla niego tylko być piękną... dla niego żyć.

Pobrali się wkrótce i mieli w poślubnej podróży zwiedzić ową Grecję, marzenie jej bezwiednie heleńskiej duszy, gdy z drogi zawróciła ich depesza o śmiertelnej chorobie ojca.

Ojciec nadspodziewanie wyzdrowiał, ale podróż poszła w odwłokę, a potem przybyły nowe obowiązki, pierworodny synek zakwilił w kołysce; w ślad za tem nowem życiem przywlokło się znów widmo śmierci; tym razem naprawdę, i zabrało naprzód matkę, w niedługim odstępie czasu ojca.

Po jego śmierci pokazało się, że majątek był znacznie nadwreżony latami choroby i niedołęstwa właściciela i ten znaczny posag, o którym od dzieciństwa słyszała i do którego stosownie ją wy-

chowywano, zredukował się do bardzo szczupłego spadku.

To był pierwszy materialny podryw jej egzystencji.

Nie odczuła go.

Mąż był doskonałym inżynierem, miał świetną dyrektorską pensję, a żenił się z nią bezinteresownie, więc i on nie był w nadziejach zawiedziony.

Lata mijały.

Szczęśliwa była, bardzo szczęśliwa, jako żona, tylko — dzieci jej się nie chowały.

Każde z nich— a miała ich czworo — do jakiegoś szóstego, ósmego roku życia zapowiadało się jaknajlepiej. Każde było śliczne, zdrowe, nad wiek rozwiniętą, dobre i nagle... coś się robiło.

Różowa twarzyczka poczyniała blednąć; pulchne ciało chudło; gibkie członeczki stawały się ociężałe; dziecko traciło humor, apetyt i bez żadnej określonej choroby gasło zwolna.

Gdy się to stało z najstarszym chłop-

czykiem żalność jej była wielka, ale przeboleła ją.

Miała wtedy jeszcze dwoje żyjących dzieci. Ich pieśczoły, ich srebrzyste głosiki zapełniły pustkę po zmarłym aniołku.

Lecz gdy w ten sam sposób poszła za nim ukochana córeczka i drugi synek, rozpacz jej przybrała zatrważające rozmiary.

Była chwila, że obawiano się o jej zmysły. Uratowała ją miłość do męża i wzgląd na jego cierpienia.

Raz jeszcze zstąpiło na nią macierzyństwo.

Ta ostatnia córeczka była tak niepodobna fizycznie i z usposobienia do zmarłego rodzeństwa, że lekarze, którzy tamtych trojga uratować nie mogli i sami skłonni byli wierzyć w jakąś fatalną, niezbadaną dziedziczność, znaleźli w tej odrębności źródło otuchy dla zmiażdżonych tyłu ciosami rodziców.

Istotnie rozdzierający był widok tych ludzi, spoglądających na to już jedyne

ubóstwiane dziecko jako na skarb, który z czasem będzie im wydarty.

Nic nie pomagały zaręczenia doktorów; nic nie znaczyło, że dziewczynka zdawała się być uosobieniem zdrowia; im cudniej się rozwijała, tem bardziej drżeli, zwłaszcza ona—i ta obawa torturowała ją do takiego stopnia, że bywało, w szalonej udręce złorzeczyła szczęściu swego macierzyństwa.

Dopiero gdy dziecko przebyło pomyslnie fatalną siódemkę, odetchnęła lżej i każdy rok przynosił jej uspokojenie.

Tem straszliwiej uderzył w nią grom, który tylko uległ zwłóce.

Doszedłszy czternastu lat, dziewczynka umarła.

Ale teraz, ona nadspodziewanie okazała więcej hartu ducha.

Potrzeba było.

Mąż, bałwochwalczo przywiązany do tej już dorastającej córki, popadł w ciężką, nerwową chorobę.

Musiał porzucić stanowisko dyrektora, i rozpoczęły się znów smutne wędrówki

po Europie ze zniechęconym raptownie człowiekiem, któremu już nic na tym świecie pomóc nie miało.

Po całych latach powolnego konania złożyła go wreszcie gdzieś w obcym miejscu, na przyczepionym do nadmorskiej skały włoskim cmentarzyku, i wróciła sama do kraju.

Nie miała już nikogo.

Długa nieobecność porozluźniała dawniejsze przyjazne stosunki.

Nikt się nie kwapił przypominać zbolelej wdowie.

Jednych odstręczała jej rozpacz, innych obawa jakichś kłopotliwych konsekwencji.

Wiedziano bowiem powszechnie, że została w niejasnym materialnym położeniu.

Poza znacznymi dochodami mieli tylko jej dziedziczny, piękny, choć obciążony majątek, który mąż z długów oczyścił.

Gdyby było tak dalej poszło, byliby bogaci. Lecz gdy dochody raptem ustały, a wydatki wzrosły, wszystko się zmieniło.



Ona nie miała najslabszego pojęcia o interesach. Rozumiała tylko to jedno, że męża ratować musi, i że niema takiej materialnej ofiary, przed którąby się cofnęła, gdy chodziło o niego.

Więc pisała wciąż z zagranicy o pieniądze, a usłużny administrator pożyczal na bajeczne procenty — bo cóż mu to szkodziło? — i posyłał, nie zapominając przytem o sobie.

Po śmierci męża ogarnęła ją zupełna martwota.

Przeciągnięte struny uczuć pękły w jej wibrującej bolem duszy.

Machinalnie wracała do kraju, machinalnie dążyła pod dach rodzinnego domu, jak wraca skołatana łódź do przystani, z której wypłynęła.

Tu czekało ją ostatnie rozbicie.

Administrator, już znacznie mniej usłużny, a nawet arogancki, wykazał jej czarno na białem, że niema tam dla niej miejsca.

Majątek wystawiono na subhastację.

Dużo miał z nią biedy szanowny ten

pan, zanim ją o konieczności opuszczenia ojczyznośc przekonał.

Nie dlatego, żeby ją to tak bardzo obchodziło, tylko, że nie mogło jej się to pomieścić w głowie.

Jak to? ten kawałek ziemi, o którym jeszcze jej pradziadowie mówili: „Nasz“, ten dom, w którym się urodziła... w obcej ręce?

Tak jej się to zdawało naturalnem, że tam umrze... Zawsze z mężem planowali starości tam dokonać... Na cmentarzu był wielki grób rodzinny... piękna kaplica z witrażami, gdzie już poprzewożone były trumienki dzieci... Tymczasem on został we Włoszech... a ona?

Ale administrator był nieugięty w swych dowodzeniach.

Popierał je przeróżnemi rachunkami, pozwami, wyrokami, na które spoglądała jak na nie mogące się dać nigdy odcyfrować hieroglify.

Kiedy wreszcie zrozumiała dokładnie, ocknęła się z apatji.

Sprzedziała wszystko, co się jeszcze

dało sprzedać: biżuterje, srebra, wspaniałe umeblowanie warszawskiego mieszkania, oddane na skład przy wyjeździe za granicę; kilka cennych obrazów, bibliotekę męża.

Za część osiągniętych ztąd pieniędzy sprowadziła jego ciało i pochowała na Powązkach, zakupiwszy tyle miejsca, żeby i dla niej starczyło; na resztę właściciel fabryki, gdzie mąż jej był dyrektorem, jedyny człowiek, który się nią zainteresował, znalazł, jej pewną hipotekę.

Dochodzik to był malutki... tak śmiesznie malutki!

Niegdyś tyle wydawała rocznie na obuwie, rękawiczki i perfumy!

Zacny fabrykant nie poprzestał na tem. Dał jej miejsce kasjerki w jakiejś filji swoich zakładów i wypuścił tanio to mieszkanko na trzeciem piętrze w oficynie swojego domu.

Wszystko to razem wzięte pozwalało nie umrzeć z głodu — i oto żyje już w ten sposób lat siedm.

Widmo, straszące jej dzieciństwo, wy-

pełzło z pod czarnej zasłony przeznaczenia i stanęło przy niej—wierne.

Jest sama! sama! sama!

Z całej przeszłości, prócz fotografii, listów, włosów, poucinanych w trumnach, kilku zabawek dzieci, zachowanych jak relikwje, i obrączek ślubnych, pozostał jej tylko ten pinczerek, który teraz siedzi przy niej, na okiennej ramie.

Ulubieńcem był ostatniej córeczki; na rok przed śmiercią dostała go szczeniakiem. W konaniu gładziła go jeszcze stygnącą rączką, leżącego na jej niebieskiej, jedwabnej kołderce i wpatrującego się w jej zmienioną przez agonię twarzyczkę, oczyma, które zdawały się rozumieć.

A potem mąż go tak lubił!

Wozili go z sobą wszędzie.

On brał go często na kolana, okryte ciepłym pledem, bo zimno mu było ciągle, pomimo że wytaczano mu fotel w najśłoneczniejsze miejsca, gładził coraz chudsza dłońią jedwabisty jego łebek i

powtarzał powolnym, jednostajnym głosem, patrząc gdzieś w dal:

— Ja taki chory, piesku! ja taki chory!

A piesek także zdawał się rozumieć i wlepił w niego swe mądre oczy, w których świeciło całe jego psie przywiązanie i litość.

Więc dziś drogi jej jest, tak drogi jak żywe zakłęcie wspomnień najtkliwszych i najuroczystszych.

Ileż łez... ile jej łez wsiąkło w ten jego jedwabisty łebek, uświęcony pieśczętą owych dwóch ukochanych dłoni, dziś rozsypanych w proch...

Czasem bywa, cała jej myśl pochłonięta jest czemś, co bieżąca chwila przyniosła, a dość jej spojrzeć na niego, aby usłyszeć głos męża, tak wyraźnie, jak kiedy siadywała przy nim na werandach zagranicznych kurortów:

— Ja taki chory, piesku, ja taki chory!

A takie szarpnięcie duszy wstecz, takie zmartwychwstawanie rzeczy umarłych za sprawą tej psiny jest dla niej bolesne, lecz i rozkoszą zarazem.

Zresztą, jest to jeszcze jedyne serce, które ją kocha; jedyna istota, która się na jej widok raduje; jedyne życie, które się z jej życiem splata.

Bo też ona, która już, zdawałoby się, kielich swój spełniła do dna, nie umie sobie wcale wyobrazić, co by poczęła, gdyby jej tego stworzenia zabrakło.

A od kilku miesięcy myśl ta zaczyna ją przesładować!

Psy długo nie żyją... on ma już lat jedenaście i widoczne jest, że się starzeje.

Ociężał, traci zęby i, co najgorsza, raz po raz tak się zachwieje i zatoczy, jakby miał upaść.

Zaniepokojona, wezwała weterynarza.

Ten obejrzał starannie swego pacjenta, przepisał jakieś proszki na te zawroty głowy i upewnił ją, że pińczerek ma organizm doskonale zakonserwowany i byle tylko nie zatył, lata jeszcze całe żyć może.

Tak ją to pocieszyło że dała weterynarzowi trzy ruble, czemu się ten mocno zdziwił, bo się takiego honorarjum w tem ubogim mieszkanku nie spodziewał,

i od tej pory codzien zabiera pieska z sobą do fabryki, żeby miał ruch.

Czy to mu pomogło, czy proszki, lecz już od kilku tygodni wcale się nie potacza, a dziś tak raźnie biegł do domu i tak pędem wpadł na schody, jak gdyby mu połowa lat ubyła.

Teraz za to śpi sobie na ramie okiennej, przytulony do czarnego rękawa jej sukni i odpoczywa.

Odpoczywają oboje, bo ich wszystko coraz bardziej męczy.

Cóż?—starość! Nie może być inaczej może tylko być gorzej...

Ach! nie myśleć!.. nie myśleć!..

Przytem taki upał straszliwy był dzisiaj, tak duszno jeszcze, pomimo że słońce zasunęło się już zupełnie za dalekie podmiejskie parkany.

Oddawna, żadna pora roku nie jest jej miła, ale już najmniej znosi lato.

Tak się jakoś składało, że prawie wszystko, co jej się w życiu najlepszego i najgorszego zdarzyło, działo się w lecie.

Jak tylko czerwiec się zacznie, niema tygodnia bez jakiejś rocznicy.

Och! te rocznice! te rocznice! których niema z kim dzielić! te rocznice, wbijające się w pustą dolę, w której się już nic nie dzieje, jak tyleż gwoździ w zamkniętą trumnę...

Jak głucho dźwięczy każda godzina takiego dnia, która niegdyś była godziną śmiechu lub łez, a dziś kładzie się na zmartwiałym sercu niby zimny, szary trup szczęścia, czy rozpacz!

Właśnie w taki sam duszny, sierpniowy dzień, o takim samym krwawo-złotym zachodzie konał jej najstarszy synek.

Tak to już dawno, tak dawno, a wyrazistością bólu zda się wczoraj za ledwie.

Ach! nie myśleć!... nie myśleć!...

Ale o czymś koniecznie trzeba myśleć... taka to już nieszczęsna budowa ludzkiego mózgu, że coś zawsze przetrwać musi... więc gdzie szukać dla niego pokarmu?...

Czy w tej terażniejszości?



Jak nieznośnie śmieją się te sługi,  
rajcujące na podwórzu!

Ich śmiech jest prawie tak szkaradny,  
jak ten śmietnik, jak to podwórze ciasne  
i cuchnące, jak te odrapane, brudne ściany  
oficyn, jak świat cały.

O! nie! nie!... świat piękny jest! tam  
gdzieś poza nią poza jej życiem rozbitem,  
śmieje się młodość, osypana jak kwiet-  
niowe drzewo śnieżnemi puchami uczuć  
wiośnianych, i płonie miłość, jak pąk  
róży do słońca otwarty, i są kobiety szczęś-  
liwe, kochane, w uścisku ramion wybra-  
nych tulone, są matki, nad kołyskami  
dzieci piosenki nadziei nucące... i bywa  
nawet starość pogodna i słodka, jak dzień  
jesienny, wonią dojrzałych jabłek przepo-  
jony.

Przymyka oczy.

Coby to jednak było, gdyby ta rzeczy-  
wistość okropna rozwiąła się jak sen, a  
zastąpiło ją to, co przecież tak łatwo stać  
się mogło, co miało wszelkie prawdopo-  
dobieństwo, że się stanie?

Siedzi oto tak samo przy oknie, tylko

to okno nie wychodzi na smrodliwy kwadrat nagiego bruku, żółtymi murami opasany, lecz na rozległy, cienisty ogród, z którego podnoszą się wieczorne, rzeźwiące wonie. Dzieckiem biegała po tym ogrodzie; dziś widzi, jak stopki jej wnuków depcą te same trawniki, migają wśród tych samych ślicznie wygracowanych uliczek. Tak ich dużo... gromadka cała. Nic dziwnego: synowie się poženili; córka jedna za mąż poszła. Właśnie wszyscy zjechali się do rodziców na wakacje. Dwór duży, a ledwo ich pomieścić może. W każdym pokoju gwarno.

Brak tylko najstarszego syna. Inżynierem został jak ojciec, sławnym inżynierem, kolej gdzieś daleko buduje. Żonę tylko z dziećmi przysłał, ale często listy pisze i może sam niezadługo przyjedzie. Młodszy za to gospodarz. Po ich śmierci majątek dziedziczny obejmie, rodzeństwo spłaci... teraz w sąsiedztwie dzierżawę wziął; dorabia się. Żonę śliczną ma, posagu mu żadnego nie wniosła. Ale tak się kochają! tacy szczęśliwi!... I dzieci

takie rozkoszne... pieśczochy babci największe, bo je najczęściej widuje.

A córka ostatnia... ta znów inną poszła drogą... tą, która uśmiechała się jej matce, gdy była w jej wieku. Artystka!.. Od kilku lat śpiewa na pierwszorzędnym europejskich i amerykańskich scenach, zbiera laury i złoto. Niedawno wróciła z takiej tryumfalnej *tournee*. A takie to dobre, serdeczne, tak temu nic hołdy nie przewróciły w złotowłosej główce.

Zdaleka, wśród drzew świeci jej biała suknia, dzieci się jej czepiają, słysząc ich rozbawione głosiki i śmiech perlisty...

A! mąż wchodzi do pokoju. Siwy już jest, zmarszczki porały szlachetne czoło; lecz w szarych, mądrych oczach dawny blask nie zagasł, i usta pod białym wąsem mają ten sam uśmiech poważny a łagodny, który czarował jej młode serce, który dziś jeszcze rozświetla jej świat.

Z wieczornego objazdu gospodarstwa wrócił; twarz ma wesołą... pewnie wszystko dobrze zastał.

Siada przy niej, i oboje patrzą w ogród, trzymając się za ręce. .

Mają na co patrzeć... mają się czemu stare oczy radować.

Tam pod drzewem, na ławeczce zamężna córka z synową gawędzą wesoło, oboje ładne, szczęśliwe; w alei młodszy syn z żoną spaceruje. Ci zawsze razem... zawsze coś sobie do powiedzenia znajdują... a od jednej z tych grup do drugiej dzieci biegają, dokazują, gonią się... i ta najmłodsza dziewczeczka z niemi...

O! co za rozkosz mieć wieczór życia zasypany takimi różami!

Wtem mąż się odzywa:

— Wiesz co, Lutuchno! Świetne będą zbiory tego roku. Jeżeli tak dotrwa, to jesienią pojedziemy sobie w świat... do Grecji! Mieliliśmy ją zobaczyć o świcie, zobaczymy o zachodzie. Nic to nie szkodzi. Ja cię zawsze jednakowo kocham i więcej jeszcze... Będziesz miała swoją Grecję, Lutuchno!

Boże! Boże! To wszystko mogło być... to wszystko powinno było być!..

Bezwiednym, gwałtownym ruchem, nie otwierając przymkniętych oczu wyciąga ręce przed siebie, jak gdyby chcąc przytrzymać te złudne mary, i w tem poruszeniu trąca łokciem śpiącego pinczera.

Piesek budzi się raptownie i zrywa na równe nogi. Chwilę patrzy na swoją panią wystraszonemi oczyma... nagle zatacza się silnie i nim zdążyła spostrzedz, nim zdążyła zrozumieć, spada z wązkiego parapetu na bruk podwórza.

Z dołu podnoszą się krzyki:

— O! rety! Psiak zleciał!

-- Zabił się!.. Jezus Marja!

-- O! jej! Jak to sobie łeb rozwalił!

Ocucona temi wrzaskami, sama niezdolna wydobyć głosu z gardła zaciśniętego nieopisanem przerażeniem, siedząca u okna kobieta porywa się z krzesła i patrzy w dół.

Pinczerek leży nieruchomy.

Jego jedwabisty, biały łeppek, tak starannie zawsze myty i czesany jej ręko-  
ma, literalnie nurza się w kałuży krwi.

Tylne łapki drgają jeszcze słabiuchno, zresztą nic.

Kobieta patrzy.

Ból całego życia, rozpacz wszystkich strat, tęsknota wszystkich pożegnań, potworna pustka niepotrzebnej doli uderzają jej do głowy jak najmocniejszy trunek.

Czerwona mgła otumania jej oczy.

Nie widzi już biednego pinczerka. Widzi wszystkie swoje trumny i słyszy ostatnie westchnienia wszystkich ukochanych istnień.

Straszliwy nadmiar czegoś, co jest nie do wytrzymania, rozsadza jej jestestwo, wtlacza się w mózg obłądną falą buntu, miażdży tamę samozachowawczego instynktu.

Z tego nadmiaru budzi się w niej jakaś dzika siła i wydzwiga ją jednym rzutem na parapet okna.

Przez mgnienie oka jej czarna, chuda postać chwieje się na wąskiej desce, pęd powietrza rozwiewa siwe włosy i ubogie kokardy czarnego czepka dokoła jej bla-

dej, tragicznej twarzy; zachodnia luna obrzeża ją całą krwawo-złocistym konturem,

I wnet wszystko to znika.

O ściany oficyn obija się głuchy, tępy łoskot, jakby stęknienie śmiertelnie zranionego wołu.

Więcej nic.

W tej ostatniej najwyższej chwili los okazał się miłosiernym. Poniosła śmierć na miejscu—bez męki.

Upadła twarzą na bruk, w ten sposób, że jedna jej ręka przykrywa niby w ostatniej pieszczocie stygnące już ciało pinczerka.

Na podwórzu powstaje zamęt straszliwy.

Plotkujące przy śmietniku sługi rozbiegają się z wrzaskiem, jak stado spłoszonych kuropatw; z bramy wypada stróż, z sień lokatorowie, ktoś przytomniejszy pędzi telefonować do Pogotowia.

Dokoła dwóch ciał nieruchomych i skrwawionych gromadzi się tłum bardzo

ciekawy, trochę współczujący, ogromnie zgorzony.

Kwiaty podwórzowej etyki sypią się na nią w ostatnim ziemskim darze:

— Słyszane rzeczy! Zabić się dla marnego psiaka!

— Warjatka jakaś! Jak to się Boga nie bała!

— Taka to już prosto do piekła pójdzie!

— Pewnie! Pewnie!

I piskliwe głosy kumoszek powtarzają ze wzrastającą zgrozą:

— Dla marnego psiaka! Dla marnego psiaka!





# Bezimienny kwiatek.

(Bajka).



Na tarasie, pod którym słały się stopnie zrujnowanych schodów, siedziała kobieta. Schody były zrujnowane tak bardzo, że kto zręczny i silny mógł jeszcze jako tako wdrapać się po nich, zaczepiając rękoma o wystające głązy i chwasty, lecz zejść na dół było już prawie niepodobieństwem dla zwykłej ludzkiej stopy.

Kobieta siedziała nieruchomo, z twarzą opartą na dłoni, twarzą przepaściście smutną i jakby zastygłą w nieruchomości.

Oczy jej patrzyły uparcie w rozciągający się przed nią w dolinie ogród.

Ogród to był — co najmniej dziwny. Zbiorowisko nigdy nie kojarzących się z sobą rzeczy. Oto jedne drzewa stały ni-  
by biało-różowe kopyły, niby kadzielnice

dymiące wonią rozkwitłych czereśni i jabłoni, a inne tuż obok płonęły rubinem dojrzałych wisien i złotem gruszek ogromnych, i czerwienią jablek dojrzałych, i zapyłonym ametystem śliw; z innych, na podobieństwo stubarwnych motyli, leciały liście jesienne, a jeszcze inne miały gałęzie nagie i oblepione chłodnym wapnem zimy, ze zwisającymi gdzieniegdzie soplami lodu, do ciężkich łez podobnemi.

Nieprzebrana moc kwiecica kłębiła się po umalowanych niemi na wszelkie kolory rabatach. Narcyzy kłoniły mleczne oczy ku astrom, bzy przerzucały lipom swe zapachy; korale jarzębin przypatrywały się, jakby zdumione, kredowej bieli buldenezów; liljowe irysy i złociste żonkile podnosiły wiotkie główki ku sterzczącym nad niemi sztywno georginjom. A wśród tego wszystkiego całe królestwo róż.

Srodkiem, wrzynając się w zielen trawników, biegły srebrne wstążki strumieni, w turkusowe klamry niezabudek ujęte; i lyskały nieruchomo okrągłe tafle

sadzawek, zwierciadlaną powłoką lodu zasnute.

W tym szczególnym a przecudnym ogrodzie pełno było ludzi różnego wieku—najwięcej dzieci.

Dziewice i młodzieńcy chodzili zawsze parami, trzymając się za ręce, rwali róże i słuchali śpiewu słowików, ukrytych w jaśminowych krzakach.

Rzadziej trafiał się mąż dojrzały lub niewiasta w pełni dni swoich. Ci przeważnie siedzieli pod drzewami i jedli owoce, spokojnie rozjaśnionemi oczami spoglądając dokoła.

Starców prawie że nie spotykało oko. Jeżeli jednak zabielała gdzie siwizną pokryta głowa, otaczała ją aureola niezmaczonej pogody i ukojenia, jaką się widuje na twarzach świętych z obrazków.

A pomiędzy tem rojowiskiem ludzkim, z którego, prócz dziecięcych szczebiotów i wybuchów młodzieńczego śmiechu i łagodnych szeptów i lekkich, jakby dziękczynnych westchnień, nie dolatywał za-

den inny dźwięk, przechadzała się postać nieopisana.

Kształty jej były ani ludzkie, ani cielesne, a przecież jakby widzialne.

Sunęła lekko, szybko, bez najlżejszego szelestu. Ruchy jej miały jakiś upajający, zawrotny czar. Gdziekolwiek się kierowała, szła za nią pieśń przecudna, najpiękniejsza pieśń, jaką na instrumencie kształt serca ludzkiego mającym, wygrywały jej boskie, nieuchwytnie palce.

Uśmiech jej ust, podobnych do różanego słońca lub do słonecznej róży, słał dokoła przedziwne wonie, w których zapachy kwiatów rozwiewały się i nikły, a spojrzenie jej bezdennych oczu napępniało zaziemskimi blaski cały ogród, innego znikąd nie czerpiący światła.

Postać to była tak ogromna, że przerastała swem promiennem czołem najwyższe drzewa, a jednocześnie nadbiegające ze śmiechem na jej spotkanie dziecko mogło ją schować całą w swej drobnej rączynie.

A jak ta postać nienazwana, tak i

ten ogród tajemniczy wraz ze swemi drzewami, kwiatami i żyjącemi istotami, i ze swem braterstwem wiosny i zimy, wyglądał jakby lada chwila rozplynać się miał we mgle i zniknąć, niby ułudne widziadło; to znów sprawiał takie wrażenie, że raczej świat cały rozsypie się w gruzy dokoła niego, jak te schody na opuszczony taras wiodące, a on trwać będzie wieczysty i niezmienny.

Kobieta nie ruszała się z miejsca. Tylko od czasu do czasu w jej zapatrzonych oczach zjawiał się płomień, a ramiona wyciągały w stronę ogrodu ruchem bezgranicznego upragnienia. Wnet jednak opuszczała je na kolana bezradnie, a źrenice gasły i zachodziły łzami.

Poza nią leżała ciemność nieprzenikniona, roztapiając się w pobliżu w szary, przykry mrok, i cisza była dokoła, głucha, tępa, jaka zwykła wisieć nad jałowemi polami apatji.

Nagle, od strony ogrodu zjawiała się dziewczęco wiotka biała postać i bez żadnego wysiłku zaczęła piąć się po zruj-

nowanych schodach, jak gdyby to była najrówniejsza droga.

Złociste, rozpuszczone włosy falowały rytmicznie po jej obnażonych ramionach i plecach, gubiąc się w fałdach lekkiej tuniki, która za każdym poruszeniem idącej rozchyłała się, odsłaniając jej śliczne, okrągłe kolana i maleńkie stopki, obute w purpurowe sandałki. Na czole miała wianek drobnych, mocno pachnących różyczek.

Gdy stanęła na tarasie, zaraz zrobiło się na nim jaśniej.

Podeszła do siedzącej wciąż nieruchomo kobiety i rzekła:

Witam cię, Samotna i Smutna. Pozdrawiam młodość twoją, która będzie pocieszoną. Jestem jej dobrą wróżką.

Tamta szybko podniosła głowę i teraz dopiero spostrzedz się dało, że twarz jej młoda była istotnie, tylko jakby zryta oskardem cierpienia i popiołem rozczarowań przysypana. Wyciągnęła rękę w stronę ogrodu.



— Czy przychodzisz, żeby mnie tam wprowadzić?

— Nie, — wróżka wstrząsnęła złotowłosą głową.—Tego uczynić nie mogę. Wiesz przecież, że tę tajemniczą furtę każdy sam sobie otworzyć musi. Ale przynoszę ci dary. Może jeden z nich będzie właśnie tym kluczem, którego napróżno szukasz.

Popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Doprawdy? Wyglądasz jednak, jak gdybyś przychodziła z pustymi rękoma.

— Mylisz się. Dłonie moje pełne. Wybieraj tylko. Ale tymczasem zrób mi trochę miejsca, bom się dźwiganiem pod górę moich niewidzialnych darów zmęczyła.

Młoda samotnica posunęła się uprzejmym, salonowym ruchem, jak gdyby była na balu i czyniła obok siebie miejsce zadyszanej od walca tancerce.

Widocznie musiała być niegdyś światową.

— Żądaj, powtórzyła wróżka.

— Ach! nie... Ja żądam jednego tylko—a ty mówisz, że dać mi to, nie w

twojej jest mocy. Więc cóż?—Powiedz lepiej sama, co mi możesz ofiarować. Zobaczę, czy warto będzie przyjąć.

Wróżka milczała chwilę, spoglądając na nią z niejakiem zdziwieniem.

— Tak mówisz? Osobliwa z ciebie istota. Zazwyczaj tobie rówieśni przyjmują dary moje z zamkniętymi oczyma. Ale niech i tak będzie... Muszę cię jednak objaśnić, że jedną tylko rzecz wybrać ci wolno. Rozważ zatem, na co się zdecydujesz.

— Ach, tak! Dobrze, żeś mi to powiedziała, śliczna wróżko. Będę bardzo rozważna w wyborze... Słucham cię zatem.

— A więc. . a więc... Mogę ci dać najpiękniejszą suknię. Gdy się w nią ubierzesz, wszystkie strojnisię świata pomdleją z zazdrości.

— Suknię?—Wydeła pogardliwie usta.—Suknię? Mody teraz tak szybko się zmieniają. Czy możesz mi dać taką, która byłaby od woli obcisłą i fałdzistą, długą i krótką, dekoltowaną i zapiętą pod samą brodę, ciężką i lekką, jasną i ciem-

na, której stan kończyłby się pod pierśiami lub sięgał po bicdra?

— Oczywiście nie. Ale mogę ci dać wspaniałe brylanty. Te nie podlegają tak łatwo modzie; wprost przeciwnie, im są starsze, tem cenniejsze.

Słaby ogienek zamigotał w posępnych oczach młodej kobiety, lecz zgasł natychmiast.

— Brylanty?.. Tak, to piękna rzecz brylanty. Ale czy mi zaręczysz, że ich nie zgubie, że mi ich nie ukradną, że czyjaś zbrodnicza ręka, nie sięgnie po moje życie, aby je sobie przywłaszczyć? Chyba, że sprzedałabym je niezwłocznie.

— Tego nie radzę ci uczynić. Mojemi darami handlować niebezpiecznie. Mszczą się. Weź raczej odemnie nadzwyczajną piękność. Tej nikt ci nie wydrze,

— Tylko czas i choroba. — Zaśmiała się szyderczo. — Czas w każdym razie. A jakaż to okropna rzecz utracić piękność! Brzydkie kobiety nie mogą mieć pojęcia, czem jest zbliżająca się starość dla tej, która przyzwyczała się być piękną. A

nienawiść zazdrosnych żon? A przekleństwa opuszczonych kochanek? A ci wszyscy zawiedzeni wielbiciel, którzy odbieraliby sobie życie pod moim progiem, i ten świat, któryby mnie za to piętnował, nie pomyślałszy, com winna, że moja nadzwyczajna piękność pomieszała w głowie tym szaleńcom? Nie, wróżko. Dzięki!

Odwróciła się i zaczęła znów patrzeć w ogród, po którym nienazwana postać śnuła się wciąż chyża, lekka, cudna, niosąc wszędzie pieśń, woń i światło, zdając się być wszystkim co najpiękniejsze, i czemś więcej jeszcze.

Wróżka dotknęła jej ramienia.

— Przestań — wymówiła łagodnie. — Patrzeniem nie wypełnisz przepaści, która cię dzieli od czarodziejskiego sadu. A tymczasem może wybić moja godzina. A gdy odejdę, na nic się nie zda przywoływać mnie. Ja nigdy nie wracam.

Z przeciągłym westchnieniem oderwała kobieta roz tęsknione oczy od przykuwającego je widoku.

— Więc eóż masz jeszcze dla mnie?  
— rzekła.

— Mam... rozum!

— Co? — wykrzyknęła tamta z przestachem. — Rozumem mnie chcesz obdarzyć? To gorzkie szyderstwo chyba! Alboż nie wiesz, że największego pożałowania godną istotą jest kobieta rozumna? Rozum! Czy po to, abym dotkliwiej czuła moje upośledzenie i wszystkie, dziejące mi się od wieków krzywdy? Czy po to, abym mówiła lub czyniła rzeczy mądre, pożyteczne i aby ludzie obchodzili to dokoła, kręcąc głowami i mówiąc: „Może to byłoby coś warte, gdyby nie było wymyślone przez kobietę“. Czy po to, aby od mego rozumu stroniły, jak od zarazy, wszelkie wdzięczne i ciepłe uśmiechy życia, wszelkie tkliwsze jego oddźwięki? Nie! nie! po stokroć nie! Nie chcę mieć nic do czynienia z rozumem!

Wróżka zamyśliła się przez chwilę.

— Może i masz słusność. Zresztą, odtrącając rozum, okazujesz już przez to samo dużo mądrości. Ale w takim razie

cóżbyś powiedziała na sławę? Ta przecież bardzo często obywa się bez rozumu. A nie zaprzeczysz, że jest ponętna?

— Zapewne. Jest to taka sama strojna, błyszcząca suknia, jak ta, którą mi na początku ofiarowywałaś. Tamta dla ciała, ta dla ducha. I zarówno musi być służebnicą upodobań chwili i zarówno szybko wychodzi z mody. Tylko ci, co ją noszą, na tysiącokrotnie większe narażenia przykrości. Piękna suknia budzi zazdrość jedynie w kobietach. Gdy tymczasem sława!.. Ach! nie mów mi o niej! Za jeden oklask życzliwych dłoni, ileż śliny zawistnych ust! Sława! Co za fałsz! Już widzę wszystkie paszkwile, sypiące się na mnie w druku, i wszystkie anonimowe napaści, i wszystkie listy histeryczek z żądaniem autografów. Nie! Jestem ci mocno obowiązana za ten dar i nie przyjmuję.

— A jeśli – wróżka objęła młodą kobietę w pół pieszczotliwie i przyłożyła swe różane usta do jej bladego ucha...--  
A jeśli ci dam miłość?

Tamta przysłoniła oczy rzesami. Zdać się mogło, że ją nagle światło olśniło

— Miłość!... miłość—powtórzyła w pół sennie.—Tę bajkę przedziwną, jaką Niańka-Życie kołysze rozkrzyczane Dziecko-Serce. Tylko dziecko prawdziwe, bajką prawdziwej piastunki do snu utulone, gdy się zbudzi, śmieje się rozkosznie, wesoło i wypoczęte... a serce!... Serce—ze snu miłości zbudzone... Ach! boję się—wróżko! Ja się straszliwie tego przebudzenia boję... Inne—wiem—budzą się i żyją dalej. Jabym nie umiała! Musiałabym umrzeć... A śmierć nie zawsze przychodzi na zawołanie. . Czy możesz mi zapewnić śmierć w razie przebudzenia?

— Dziwna, dziwna z ciebie istota — odrzekła wróżka, chwiejąc złocistą głową.—Któż pyta o takie rzeczy, gdy mu dają miłość. Zresztą śmierć jest także darem, a ja tylko jeden mogą mieć dla ciebie.

Nastąpiło długie milczenie.

— Więc—odtrącasz miłość?—spytała wreszcie jasnowłosa.

— Nie kuś mnie, wróżko, — odszepnęła tamta drgającymi wewnętrzną walką ustami.

I znowu milczały.

— Słuchaj. — Teraz wróżka jakimś uroczystym ruchem położyła obie ręce na ramionach kobiety. — Chcesz ty mieć dziecko? Ten najcenniejszy skarb, to najwyższe dobro i dostojeństwo kobiety? Chcesz być matką?

-- A czy dziecko moje chce żyć? Jego wpierw spytaj. Czy sprowadzając go na ten świat, dam mu jednocześnie do ręki ten klucz tajemniczy, którego sama naprózno szukam? I dziecko to wszak będzie kiedyś człowiekiem! Jakim człowiekiem? Błogosławieństwem i chlubą ludzkości, czy jej klęską i wstydem? To musiałabym naprzód wiedzieć. Milczysz?

— Przyszłość nie w mojem ręku! — odparła wróżka sucho.

Kobieta zwróciła się znowu ku ogrodowi jaśniejącemu w oddali, jak miraż, ze wszystkich barw tęczy wyczarowany. Usta jej rozchylił kurcz udręzonego po-



żądania. Z oczu płynęły bezsilne, palące łzy.

— Patrz—wyszeptała głucho. — Patrz, jak tam pomiędzy tą ciżbą radosną przechadza się Szczęście. Patrz, jak wszystkich jednako w swe promieniste szaty otula... patrz, jak śpiewa dla wszystkich, jak dobrotliwie ręce na ich ramionach kładzie! Czemuż ja jedna dostać się tam nie mogę! Czemu ta przepaść nieprzebyta pod moimi stopami... O! gdybym miała skrzydła.

— Możeby ci je przypiął jeden z tych darów, któremi wzgardziłaś — odrzekła wrożka. — Upewniam cię, że nikt z tych, których tam widzisz, którym tak zazdrościsz, nie wszedłby do tego ogrodu, gdyby nie umiał dopasować klucza do jego furty... Ale ty nie masz żadnych zdolności do życiowego ślusarstwa.

Kobieta rozpaczliwie załamała ręce.

— Może! może! Ale cóż ja pocznę? Czemu taką, a nie inną mam duszę? Duszę mi zmień.

Złotowłosa boginka spoglądała na nią

w zamyśleniu swemi ślicznemi chabrowemi oczyma.

Jej usta, do niezerwanej leśnej poziomki podobne, uśmiechały się litośnie.

— Żal mi cię—odezwała się po chwili.—Powinnabym odejść zagniewana, ale żal mi cię. Odepchnęłaś wszystkie moje skarby, ja przecież jeszcze czemś obdarzyć cię mogę. Czemś, co właściwie jest niczem. Małym, niepozornym kwiatkiem. Weź go, weź bez wahania!

— Jak się nazywa?

— Nie pytaj! Raz nazwany, wiednie natychmiast i ginie. O to jedno przynajmniej nie pytaj, jeżeli wieczna niedola nie ma być twoim udziałem. Patrz! Małeńki, nikły, bezbarwny kwiateczek. Ale bierz go obiema rękoma i uważaj, aby ci się nie wyślizgnął. A teraz, przyłóż go zlekka do oczu, przymknij wpół powieki i pociągaj po nich delikatnie... bardzo delikatnie... Jego tak łatwo uszkodzić...

Kobieta machinalnie wypełniła polecenie wróżki.

I nagle zaszła w niej nadzwyczajna zmiana.

Schylona bezradnie postać wyprostowała się, ramiona wyciągnęły jak do lotu, twarz zapłonęła łuną bezgranicznego zachwyty.

— Och! Och!—zaczęła wołać w upojeniu.—Nareszcie... nareszcie... Płynę, lecę... jestem już! widzę cię twarzą w twarz... dotykam... czuję boski twój pocałunek na czole... Szczęście! Szczęście!.. O! jakże ty mi świecisz! jak pachniesz... jak cudną pieśń słyszą uszy moje!..

Mówiła, a dokoła niej była ta sama, co poprzednio, ciemność, panowała ta sama tępa, martwa cisza, i stopy jej tak samo tkwiły w miejscu na szorstkich, chwastem i pleśnią porośłych kamieniach tarasu, pod którym słały się zrujnowane nie do przebycia schody...

Wróżka stała z boku i patrzyła długo na przeobrażoną kobietę, usmiechając się tajemniczo. Wreszcie położyła biały paluszek na cudnych, do niezerwa-

nej poziomki podobnych usteczkach i odeszła cichutko, zabierając swe niepotrzebne dary. Cóż cała ich rzeczywistość znaczyć mogła wobec tego jednego, nikłego kwiatka, który zostawiała, a któremu na imię... Złudzenie!



# Autentyczny Bruno.

(Humoreska).



Działo się to w redakcji.

Referent wiadomości miejscowych znalazł na chodniku niezaklejoną i niez adresowaną kopertę, a wewnątrz list. To się zdarza—częściej nawet, niż znalezienie sturublówki.

Referent, hordujący przekonaniu, że dobry dziennikarz nawet z zużytej zapalki wykrzesze materiał do artykułu, zabrał się skwapliwie do czytania listu, nakreślonego delikatnym, kobiecym pismem, treści jak poniżej:

„Najdroższy! Nazywam Cię tak jeszcze, choć widocznie sama przestałam być dla Ciebie najdroższą. Mówię: „widocznie“, a uwierzyć w to nie mogę.“

„A jednak... łudzić się trudno! Wszak to już drugi miesiąc się zaczął, jak nie

widziałam Cię, jak nie dałeś żadnego znaku życia... Mówiłeś, że wyjeżdżasz; ale ktoś ze znajomych spotkał Cię niedawno na ulicy... Dawniej, pamiętasz, powtarzałeś mi, że nie rozumiesz dnia bez mego widoku. Czy to wieki minęły od czasu, jak ja te słowa słyszałam? Nie! nie! to zaledwie miesiąc... Boże mój!... już miesiąc...

Ten list jest czwartym, który piszę do Ciebie bez otrzymania odpowiedzi, Brunonie mój jedyny!

Czwartym, ale i ostatnim. Jeżeli mi teraz nie odpiszesz, umilknę na zawsze...

Och! nie! Ty do tego nie dopuścisz! Ty kochasz mnie przecież! To niepodobna, aby miłość taka, jak Twoja, wygasnąć miała tak prędko!

Pamiętasz, jak, klęcząc u moich kolan, nazywałeś mnie Twoją gwiazdą przewodnią, kwiatem; Twego życia, jedyną bratnią duszą, na maskaradzie świata spotkaną.

Pamiętasz, jak przysięgałeś, że tak kochasz po raz pierwszy, że różę prawdziwego upojenia dopiero z moich ust zerwałeś!“



Och!... ja Ci tak wierzyłam! tak bezgranicznie wierzyłam! .. I teraz jeszcze, pomimo wszystkiego, chcę wierzyć... bo ta wiara—to życie moje!...

Chociaż... od pewnego czasu widziałam w Tobie zmianę... Przychodziłeś później, odchodziłeś wcześniej... mówiłeś, że lękasz się, aby mnie nie skompromitować... Za ostatnią bytnością ziewnałeś nawet dwukrotnie... Och! to ziewanie!... to było pchnięcie sztyletu w moje serce.. To Ci się nigdy dawniej nie zdarzało, choć siedywaliśmy tak długo w noc... Brunonie! Brunonie! ja tak tęsknię!.. Czekam Cię i kocham!.. A Ty?..“

Na tem urywał się list.

Referentowi, który miał serce wrażliwe, żal się zrobiło piszącej, zwłaszcza, że pewne ustępy listu dziwnie odpowiadały sytuacji sercowej, w jakiej sam się obecnie znajdował.

Nie wątpił, że opuszczona kochanka Brunona, przekonawszy się o swej zgubie, napisze drugi list, jeszcze dłuższy i jeszcze tkliwszy, lecz troszczyć się będzie

w czyje ręce wpadły jej miłosne wynurzenia. Postanowił jej dopomódz.

Zatem niewiele myśląc co jest także dziennikarskiem przyzwyczajeniem—wydrukował list w porannym numerze z takim dopiskiem:

„Ponieważ koperta jest niezaadresowana, znalazca tą drogą poszukuje osoby, dla której pismo to było przeznaczone. Ze względu na pewne subiektywne zupełnie aluzje i dość rzadkie imię, nie wątpimy, iż interesowany adresat łatwo odgadnie, iż o niego chodzi i zgłosi się po zgubę w godzinach redakcyjnych, stolik № 8“.

Jakoż zaledwie dowcipny dziennikarz zasiadł dnia tego przy swoim biurku, woźny wprowadził eleganckiego młodzieńca, który miał taką minę, jakgdyby sobie zadawał jakąś zgoła zbyteczną fatywę...

— Przyszedłem — zaczął młodzian nie dbale — to jest właściwie wstąpiłem... w sprawie tego listu... Pan wpadł istotnie na doskonały pomysł...

Referent skłonił się...

— Pan jest zupełnie pewny...— zaczął.

— Ach! najzupełniej... wszystko się zgadza... W istocie, nie odpisałem na te trzy listy... ale byłem tak zajęty... Żenię się wkrótce...

Musnął zlekka wąsik piątym palcem, na którym błyszczał nowiuteńki pierścio- nek z brylantem. Referent przybrał wy- raz dyskretnego zaciekawienia.

— Tak... panna pod każdym wzglę- dem... posażna, ustosunkowana... ładna!.. Och! i ta moja korespondentka... urocze dziewczę... ani słowa, tylko, uważa pan, jedna z sześciorga... Ojciec niedawno umarł... ślicznie dziękuję, wszystko by to spadło na moją głowę... a ona proszę sobie wyobrazić, całą siłą pary na sakra- ment... Co za ciasnota poglądów! Pan będzie łaskaw dać mi ten list. Zobaczę, co mi ma jeszcze do powiedzenia.

Referent wydobył z szuflady kopertę.

— Służę panu.

Młodzieniec spojrział i zastanowił się.

— Kwadratowa?.. rzekł podnosząc

zlekka brwi.— Ona stale używa podłużnego formatu, a jak obecnie z żałobnymi obwódkami. Pozwoli pan, że zajrzę do środka.

Rozwinął ćwiartkę i złożył ją czempredzej.

— Przepraszam pana. Omyliłem się. To doprawdy dziwne... Jakiś inny Bruno w identycznych okolicznościach... Wprawdzie nie pamiętam, abym ziewał, ale ta róża upojeń... ta bratnia dusza na maskaradzie świata. To istotnie nie do wiary...

Najmocniej przepraszam.

— Nic nie szkodzi...

Młodzieniec skłonił się z zadowoleniem i wyszedł lekko, jak gdyby mu ubyło dziesięć funtów.

We drzwiach rozminął się z nim pan w średnich latach, o pięknie utrzymanym zarościu i w garniturze nieposzlakowanego kroju. Wyglądał na człowieka ze stanowiskiem.

Wszedłszy, rozejrzał się po pokoju. Nie można było wątpić, że jest silnie zakłopotany.

Jesteśmy sami?—zapytał bojaźliwie.

— Najzupełniej...

— Ja... po ten list! Tylko to sprawa dosyć drażliwa... Jestem żonaty!

— Ach tak!..

Referent przysunął się żywo i uściśnął dłoń gościa ręką, na której czwartym palcu żółciła się także obrączka.

— Rozumiem! Rozumiem!

Głos jego był wezbrany współczuciem.

Wytworny pan odwzajemnił uścisk z wylaniem.

— Dziękuję serdecznie... Szanowny pan pojmuje, co się ze mną działo, gdy to przy śniadaniu przeczytał... Myślałem, że mnie krew zaleje... Szczęściem moja żona była czemś innem zajęta, nie przejrzała porannego dziennika. Usunąłem go zręcznie...

To jednak wielka niedyskrecja, wielka niedyskrecja ze strony redakcji...

— Jednakże — bronił się referent słabo... — Sądziliśmy... List wszak powinien być zrozumiałym tylko dla dwojga zain-

teresowanych. Nie przypuszczam, żeby małżonka pańska była wtajemniczona...

— Zapewne, zapewne — przerwał szybko tamten — ale kobiety mają szaloną intuicję... Wprawdzie żyjemy z sobą od dwunastu lat w najprzykładniejszej zgodzie, ale zawsze... to imię! Mogła była przybiedz tu do redakcji, zobaczyć pismo i byłoby po wszystkim!.. Bo to jej najserdeczniejsza przyjaciółka...

— Czy być może?

— Tak! tak!.. Od pewnego czasu widują się rzadziej, ale zawsze... bywała w naszym domu i doprawdy dziwię się trochę, jak patrząc na nasze idealne życie, mogła to brać na serjo... Rozumie szanowny pan?..

— Ależ doskonale... Ja również uwielbiam swoją żonę... a muszę się przyznać!..

— Pan istotnie budzi we mnie szczególne zaufanie... jestem w tem samym położeniu.

Uścisnęli się znowu za ręce.

— Do tego stopnia—ciągnął referent z rozrzewnieniem—że gdyby nie to imię...

ja się nazywam Ludwik... Lulu, jak mówi moja żona... a tamta mnie nazywała Dusiem... ładnie, prawda?

— Bardzo ładnie... Bruno nie nadaje się do spieszczenia... Zawsze nad tem ubolewałem...

— Otóż, gdyby nie to imię, no, i inny charakter pisma, byłbym przysiągł, że to ona zgubiła ten list!...

— Rzeczywiście, osobliwy zbieg okoliczności!.. Może zjedlibyśmy dziś razem kolację?...

— Z największą przyjemnością.

— W Renesansie... co?...

— A na czarną kawę do Andzi... — szepnął referent. - -Do szóstej otwarte.

— Doskonale... Tymczasem niech wycofam ten nieszczęsny dokument... Jak to można gubić coś podobnego! A nie ma dwudziestu lat... sama mężatka!..

— I moja też!—wybuchnął referent.

— Kobiety są nieobliczalne — zauważył wytworny pan. — Gdyby tak moja żona była znalazła na ulicy... Słabo mi się jeszcze robi na tę myśl... Człowiek

żonaty nigdy nie może przewidzieć, jakie niebezpieczeństwo nad nim wisi.

— Ach to prawda!..

Wspólność położenia tak ich rozczuliła, że padli sobie w objęcia.

Wytworny pan pierwszy uwolnił się z uścisku.

— Kończmyż już z tym przeklętym listem. Jest tu piec?.. Pan mi pozwoli zapalkę. Takie korespondencje najlepiej palić z miejsca.

— Ależ naturalnie! naturalnie! — potwierdził referent z przejęciem. — My żonaci... inaczej nie sposób... To jedyna taktyka możliwa w naszej sytuacji.

I skwapliwie podawał kopertę wytwornemu panu.

Ale ten jej nie brał, a na twarzy jego zjawiał się wyraz wietrzącego wyżła.

— Biała?.. — wymówił zwolna — i nie pachnie?... Dziwna rzecz! Ona pisze zawsze na niebieskim papierze i perfumuje go fijołkami, aż bucha zdaleka... To ma nawet w sobie coś fascynującego... Mnie zawsze tak nastraja...



Przeciągnął się, jak wypoczęty faun, rozwinął ćwiartkę i ręce mu opadły.

— Nie jej pismo! — oświadczył grobowym głosem. — Zupełnie mi nieznany charakter... To przecież nadzwyczajne!.. Jakby mi kto z ust wyjął to wszystko... I moje imię!.. Czy to przypadkiem nie jakaś mistyfikacja?.. Może to moja żona... Ale nie!.. cóż znowu!..

Jeszcze nie skończył, gdy do pokoju wpadł mężczyzna o wyglądzie bandyty, z włosami, sięgającymi ramion, i rękoma niemytemi od tygodnia. Strój jego ubogi był w guziki.

— Panie! — wołał od progu—co pan za knoty urządza! Drukujesz pan list mojej modelki!. To aeroplaniczne, jak sztukę kocham... Styl tam pan trochę wygładziłeś... to już wasze rzemiosło... ale poznałem odrazu!.. To to niby wszystko prawda, co ona tam gędoli... chociaż tamtych trzech listów nie otrzymałem... Musiała je także zgubić!.. Zawsze była roztrzepana... Całą garderobę zostawiła mi w pracowni... Ale gdybym był tamte

odebrał... no to przecież... wie pan, my artyści mamy miękusze pod piętą żebrem... I tak, muszę to panu wytłumaczyć, żebyś nie myślał, że ze mnie jest taka cała świnią, jakby się zdawało.

Stanął na środku pokoju, rozstawił szeroko nogi w zaplamionych spodniach, przyczem brak guzików uwidocznił się przerażająco, i szciodrze szafując gestami, opowiadał:

— Widzi pan, to jest dziewczyna migdał! A karnacja!.. panie!., bić się w pyski i patrzeć, żeby równo puchło... I linja bioder... bycza. Tylko kolana szwankują. Za grube w wiązaniu, uważa pan i kości sterczą... To fatalne. Te kolana mnie zniechęciły... Tymczasem, przed miesiącem napataczają mi się... powiadam panu... cuda! Białe, gładkie, jak u Charyty... zaokrąglone, jakby kto jabłko na dwie połówki przekroił i z dołkami... Panie, to się nie spotyka!.. Oczywiście rzecz... trąba na całej linji!.. Podlec jestem, przyznaję, cóż robić!... No, daj mi pan te

koszlony, bo się śpieszę... Ta z kolanami ma przyjść pozować!...

— Pismo listu, który znajduje się w posiadaniu naszej redakcji, jest bardzo ładne—zauważył referent urzędowo.

— He?.. Co takiego. To chyba zestosowała się z jakim kaligrafem i on ją tak przez ten miesiąc wyszkolił... Ale ja ją poznam po ortografji!.. Panie... jej ortografja!... Tego się przez cztery tygodnie nie zatracą!... Czekaj no pan.. Proszę!... „Róża“ przez o kreskowane; „który“ ditto; poszukajmy gwiazdy... Powinno być Hf na początku... „Hfiazda“... Ona ma słabość do takich kombinacji liter... Co widzę!.. „c“ przed „h“ w „kocham“!.. Nie! to cała awjatyka z tym listem... Szukajże pan sobie innego Brunona. Adju!

Cisnął list na biurko — wypadł, trzaskając drzwiami.

Wytworny pan przez cały ten czas strzepywał chusteczką z modnym szlakiem niewidzialne pyłki ze swego nieposzlakowanego garnituru. Ordynarny artysta raził go ogromnie.

— No, trzeba mi już iść—wyrzekł.—  
Widzę, że nie ja jeden znalazłem się w  
tem głupim położeniu... Ciekawa rzecz,  
jak się to wreszcie skończy. Pan mi opo-  
wie przy kolacji?

— Jak najdokładniej.

— Do widzenia... W Renesansie... o  
pół do dwunastej?

— Będę punktualnie. Do widzenia!

Po wyjściu wytwornego pana zapa-  
nowała chwilowo cisza.

Referent zabrał się do pisania arty-  
kułu, którego nagłością miał zasłonić wo-  
bec żony dzisiejszą nocną nieobecność.  
Niedługo jednak dozwolone mu było po-  
święcać się tej zbawczej pracy.

Za drzwiami dało się słyszeć najpierw  
sapanie, potem sumienne wytarcie nosa,  
potem dwa krótkie ataki kaszlu, wreszcie  
klamka stuknęła i wszedł staruszek, la-  
wirujący na oko pomiędzy zdezelowaną  
sześćdziesiątką a świetnie zakonserwowa-  
nym dziewiątym krzyżykiem.

Pochylony był, zawiędły, jeden z tych,

którzy dawno zapomnieli, że oprócz skóry i kości nosili niegdyś ciało. Na głowie nie miał ani jednego włosa, twarz wygoloną, tylko wąsy jaśniały pięknym zielonym kolorem, co dowodziło, że staruszek używa farby lichego gatunku i nie często.

Wszedł drobnym kroczeniem i osunął się na najbliższe krzesło, dysząc:

-- Uf!—zaczął po momencie—pozwoli pan dobrodziej mój, że odpocznę... Kto słyszał, żeby redakcje były po piętrach. Takie publiczne zakłady powinny się mieścić na parterze... Przecież, panie dobrodzieju mój, nie nos dla tabakiery.

—Schody mamy tak wygodne...—zaczął referent. —Jedno piętro...

— Wygodne! wygodne!.. — mrucał staruszek. —Jak dla kogo!.. Jedno piętro... Pan dobrodziej mój jest sobie doskonały.

Raptem udobruchał się. Ominęła go duszność i odzyskał fantazję.

— Ja tu w interesie, panie dobrodzieju mój.. Chciałem odebrać ten list...

Referent postanowił być bardzo grzecznym.

— Czcigodny pan zapewne dla wnuka..

Staruszek wyprostował się, aż mu w krzyżu chrobotnęło.

— Dla jakiego wnuka?—zapytał groźnie—Nie mam żadnych wnuków. Ja sam jestem Bruno. Zaraz, wnuka!.. Tym smarkaczom, gołowąsom to się zdaje, że tylko młodość u kobiet popłaca.. Ho! ho! panie dobrodzieju mój!.. my starsze pokolenie możemy coś o tem powiedzieć... Zresztą, co się mam chwalić... Sam list za siebie mówi... Toć tam czarno na białem widzi się, jak ona mnie kocha!.. A łasi się to, a przymila... a takie wdzięczne za lada drobnostkę!.. Bo ja, panie dobrodzieju mój, mam sobie za zasadę, żeby nigdy nie przyjść z pustemi rękoma... Ale zdarzy się czasem coś mniej wartościowego... jakieś rękawiczki, jakiś pasek... A to kocię zaraz mi się rzuca na szyję, zaraz głaszcze po twarzy: „A mój pampusiu!.. A mój pieseczku!.. A mój kiełbiku!.. A mój dziugdziu!.. Jaki ty

dobry!.. Po co ty mnie tak psujesz?.. Ale — powiada — skoro już koniecznie chcesz, to lepiej coś metalowego... coś ze złota, bo to się nie niszczy!.. A ja bym tak chciała, aby wszystko, co od Ciebie, wieki trwało“. Oczywiście na drugi raz przynoszę to broszeczkę, to pierścioneczek... Trzeba widzieć, panie dobrodzieju mój, jaka ona wtedy!.. Mało mnie nie zadusi z pieśczoć! Kochane, najmilsze stworzenie...

Staruszek zamrugął powiekami. Pomarszczonym brzuszkiem wielkiego palca otarł kapkę rozczulenia z zaczerwienionego końca nosa i mówił dalej:

— Ja też jej wcale nie myślałem opuszczać... wcale... O tem ziewaniu, co pisze, to prawda, lecz to niczego nie dowodzi... Chciałem sobie poprostu trochę odpocząć... Pojmuje pan dobrodziej mój... zawsze to człowiek już nie ma dwudziestu lat.. A ona... anielska istota... ale wymagająca... wymagająca...

Zachłysnął się trochę i znowu podjął:

— Więc symulowałem ten wyjazd...

Ale po tym liście... Bo z tamtych trzech tylko jeden odebrałem... Jaki!.. nie byłbym wytrzymał... Krew nie woda panie dobrodzieju mój... No, teraz, to już ani chwili... Prosto ztąd do niej idę... Już ja jej to wynagrodzę... biedactwu memu!..

Z marazmiczną junakierją podkręcił w górę zielonego wąsa.

— Jednakże — wtrącił referent — dla wszelkiej pewności, zechce czcigodny pan sprawdzić...

— A dobrze, dobrze! chociaż to jasne, jak słońce... Moje słowa mi tam przytacza... Ja tak zawsze do niej pieszczotliwie a poetycznie: „Gwiazdeczko!.. kwiatuszku...“ I tem ziewaniem tak mi przypiekła... Ale, skoro pan dobrodzieju mój... sądzi, że trzeba sprawdzić...

Wziął list, odsunął go na długość ramienia, a drugą ręką zaczął się macać po kieszeniach.

— Masz tobie!.. zapomniałem drugiej pary okularów!.. Tej do czytania. A bez nich ani rusz... nic nie widzę, panie dobrodzieju mój... Nie rozumiem, zkąd mi



się tak wzrok popsuł. . To jakże będzie? Pan dobrodziej mój nie da mi tego listu.. tak, na wiarę?

— Najmocniej przepraszam, ale nie mogę.

— Ha! cóż robić!.. Trzeba iść do domu po okulary!.. Bodaj to taka robota... Znowu winduj się na te schody przeklęte... Pan dobrodziej mój doprawdy za skrupulatny. Kiedy tu nie może być żadnej pomyłki... Ja panu dobrodziejowi memu gotów jestem opowiedzieć, jak to pismo wygląda... bo to jeszcze wielkie młodzianstwo... wielkie młodzianstwo...

— Wprost przeciwnie czcigodny panie... List pisany jest charakterem drobnym, spiczastym, bardzo wprawnym

— Być nie może! Pan dobrodziej mój tylko z umysłu tak, żeby mnie uprzykrzyć... To bardzo niepięknie z jego strony. No, to już idę po te szelmowskie okulary. Za małą godzinę będę z powrotem.

Za małą godzinę... Sługa, pana dobrodzieja mego.

Podreptał ku drzwiom, zostawiając je niedomknięte z pośpiechu.

Jeszcze referent nie umoczył pióra, kiedy zastukano, i przez to niedomknięcie wsunęła się drobna figurka w marynarskiej bluzce, przepasanej szafirową taśmą, w spodeńkach po kolana i szafirowych skarpetkach poniżej łydek.

Malec trzymał w ręku kapelusik z szafirową wstążką, której końce przyciskała lakierowana na biało kotwica. Policzki chłopięcia były anemiczne; w podsiniałych oczkach, gorzał święty ogień uświadamiających wieców.

— Plosę pana — zaczął, szurgnąwszy nogami w szarych espadrilkach — pan wydrłukował list mojej kochanki. To nie po lycelsku. Ja jestem Brlunio. Psysedlem wyzwać pana na pojedynek.

Tego już referentowi było za wiele.

Porwał się za głowę i wnet całą pięścią grzmotnął w guzik elektrycznego dzwonka, umieszczonego na biurku.

- Zaprowadzić tego chłopca do domu opieki nad dziećmi—krzyknął na woźne-

go, który wpadł wystraszony — i nie wpuszczać dziś do mnie nikogo więcej... Rozumie, Antoni? Nikogo.

Podarł list na drobne kawałki i cisnął z furją do kosza.

Uczył mądrze—bo autentyczny Bruno nie byłby się nigdy zgłosił.





# Co go ocaliło?

(Humoreska).



— Tak, tak, łaskawa pani—rzekł pan Ignacy, podając mi koszyk z ciastem — każdy w życiu ma swoją przełomową chwilę.

— To prawda — przytaknęłam panu Ignacemu, biorąc kawałek piaskowej babki, ulubionego mi specjału.

Siedzieliśmy właśnie przy wieczornej herbacie, a dodać muszę, że działo się to na wsi, w domu pana Ignacego, gdzie, jako dawna koleżanka jego żony, od dni kilku bawiłam w gościnie... Boże! jak ci ludzie mnie karmili. Do dziś czuję w ustach smak chrupkich, smażonych w maśle kurcząt i łykam ślinkę na wspomnienie delikatnych ponczowych galaretek, jakie kochana Zosia przyrządzała mi własnoręcznie. Ale to do rzeczy nie należy.

Do rzeczy należy tylko tyle, że siedzieliśmy przy stole: państwo Ignacowie, ksiądz proboszcz, dwie dziewczynki z boną i ja; oraz, że pan Ignacy, czterdziestodwuletni mąż mojej koleżanki (o kilkanaście lat od niego młodszej), uważał za stosowne bawić mnie ściśle literacką rozmową. Napróżno wymawiałam się od tego zaszczytu, uprzejmy gospodarz sądził, iż nie potrafi lepiej wywiązać się ze swojej roli, jak zasięgając mego zdania o koryfeuszach wszystkich europejskich literatur, lub podnosząc różne psychologiczne subtelności i filozoficzne tezy w rodzaju [ostatniego twierdzenia.

— Tak — powtórzył z naciskiem — wszyscy, jak tu jesteśmy, mieliśmy naszą przełomową chwilę: i pani, i ksiądz proboszcz, i moja Zosia, i ja. To byłoby na serjo zajmujące posiedzenie, gdybyśmy sobie wzajemnie opowiedzieli te epizody. Jak pani sądzi?

Propozycja pana Ignacego tak mnie przestraszyła, że zakrztusiłam się babką;



on zaś, biorąc ten objaw za wynik radosnego wzruszenia, ogarnął nas spojrzeniem pełnem ufności i mówił dalej:

— Jestem pewny, że nasze przełomowe chwile nie są tego rodzaju, żebyśmy się z nimi kryć potrzebowali. Nieprawdaż, księżę proboszczu? nieprawdaż pani? Co, Zosiu?

Ksiądz proboszcz utarł nos z powagą, Zosia, patrząca z zachwytem na swego pomyslowego małżonka (który w okolicy za luminarza miejscowej inteligencji uchodził) zachichotała głośno; co do mnie, krztusiłam się ciągle.

— Któż więc zacznie?— spytał pan Ignacy.—Naturalnie, pani. Gościowi i damie pierwszeństwo.

Połknęłam spieszenie resztę babki:

— O! nie —zawołałam gorąco — pan, jako inicjator, ma głos.

— Słusznie — rzekł ksiądz proboszcz, chowając chustkę za sutannę.

— Tak, tak, Ignasiu — wykrzyknęła żona—ty nam pierwszy opowiesz.

— Dobrze —wymówił wspaniałomyśl-

nie pan Ignacy, który, jak go podejrzewam, czyhał tylko na tę sposobność.

Rozparł się wygodnie i, patrząc na mnie, uroczyście:

— Czyby się też pani domyśliła — rzekł—że ja, jak mnie pani widzi, o mało, ale to o mało nie zostałem powieściopisarzem?

— Doprawdy? — zawołałam z niekłamaniem zajęciem—i cóż pana ocaliło?

Pan Ignacy spojrział na mnie ze zgrozą.

— Ocaliło? — powtórzył — pani to nazywa ocaleniem? Muszę wyznać, iż nie spodziewałem się podobnego poglądu z ust pani usłyszeć. Liczyłem na więcej odczucia i...

— Przepraszam — przerwałam skruszona—może się źle wyraziłam Cóż więc panu przeszkodziło?

Pan Ignacy westchnął.

— Ach! — rzekł — piękna to była chwila i nigdy nie zapomniana, przełomowa chwila, w której popęd z łaski Bożej obudził się we mnie. Fatalność nie pozwoliła mi iść za jego głosem. A jednak,

kto wie, byłbym może zdobył sobie zaszczytne miejsce w literaturze.

Odchrząknął i mówił dalej:

— Było to tak: Skończyłem Marymont, miałem dwadzieścia cztery lata, byłem zdrow na ciele i umyśle, i w przejeździe na praktykę gospodarską baraszkowałem sobie trochę w Warszawie, gdy pewnego dnia, ni ztąd ni zowąd obudziłem się jakiś nie swój. Ranek był trochę mglisty, powietrze chłodne. Stałem przy oknie i zadumałem się. Naprzeciwko mnie, za wilgotną szybą zobaczyłem pochyloną nad robotą dziewczynę. Nie było w tem nic nadzwyczajnego. W Warszawie zawsze się naprzeciwko kogoś mieszka, a tym kimś może być równie dobrze szwaczka, jak każdy inny. Ale, jak to już rzekłem, byłem nie swój, zdenerwowany, i widok tej dziewczyny bardziej mnie jeszcze rozstroił. W dodatku zauważyłem, że miała czerwone oczy i od czasu do czasu podnosiła do nich chustkę. Może to było skutkiem kataru lub niewyspania,

mnie to przecież nasunęło zaraz na myśl cały dramat.

Odstąpiłem od okna i zacząłem się przechadzać po pokoju. Coś niepojętego działo się ze mną. Ogarniało mnie pragnienie nurtowania tajemnic ludzkich bytów, ich walk, ich cichych dramatów, a jednocześnie wzrok mój, jakby ulegając magnetycznemu prądowi, zwracał się w stronę kałamarza. Oho! pomyślałem, napiszę list! Trzeba państwu bowiem wiedzieć, iż do korespondencji nie byłem nigdy skory, i ilekroć zbierało mi się na nią, akt ten poprzedzała jakaś nerwowa przypadłość.

Siadłem bezzwłocznie przy biurku, wziąłem arkusik papieru, napisałem datę i pierwsze dwa wyrazy: kochana Maryniu! (bo właśnie siostrze byłem dłużny odpowiedź) i, włożywszy pióro w usta, zadumałem się znowu. Żeby państwu stan mego umysłu jaknajdokładniej przedstawić, powiem, że doznawałem takiego uczucia, jak gdyby mi kto w głowie huśtawkę rozbijał. Skutek był taki, że za-

miast zacząć, jak zwykle: „przepraszam cię, droga siostrzyczko, żem ci dotychczas na twój miły liścik nie odpowiedział“... począłem, ni ztąd ni zowąd następujący okres: „słońce chyliło się z wolna ku zachodowi. Skośne jego promienie darzyły ziemię ostatnim pocałunkiem“...

Napisawszy to, osłupiałem. Co ja robię? Co się ze mną dzieje? Cisnąłem pióro, zerwałem się z krzesła i zacząłem chodzić tam i napowrót. Z głową moją było coraz gorzej. Wszystko mi się w niej kołowało, mąciło, a w okolicy serca czułem dziwny niepokój, jakąś nieprzepartą potrzebę pisania, ale nie do siostry, tylko ot tak! albo ja wiem — do nikogo, do wszystkich. Nagle stanąłem. Niema co — pomyślałem — zostanę autorem!

Tu pan Ignacy przerwał sobie opowiadanie. Popił wystygłej herbaty i zwracając się znów do mnie:

— Przepraszam panią — rzekł — ale chciałbym wiedzieć, czy i u pani mniej więcej w ten sam sposób objawiło się po raz pierwszy natchnienie?

Mimowoli uśmiechnęłam się.

— Nie byłam nigdy natchnioną—rzekłam—ale jeżeli chodzi o moją pierwszą literacką próbę, to odbyła się ona trochę inaczej. Niech pan jednak będzie łaskaw opowiadać dalej; to istotnie rzecz zajmująca.

Pan Ignacy westchnął powtórnie i tak mówił:

— Otóż, kiedym sobie taką ddiagnozę mego duchowego stanu postawił, zaraz mi się jaśniej w umyśle zrobiło, ale gorączka pisania paliła mnie coraz silniej. Siadłem znów przy biurku, odrzuciłem wzgardliwie list, i na świeżym arkusiku wykaligrafowałem starannie tytuł:

*„Moja nieznajoma“.*

Nie wiedziałem jeszcze zgoła, kto nią będzie, ani co się z nią stanie, czułem tylko, że muszę napisać coś nadzwyczaj poetycznego i tajemniczego, coś, w czym będzie dużo łez, kwiatów, księżycy, mgły; wiły mi się jakieś widma blade, milczące, z cichym uśmiechem cierpienia na ustach;

pragnąłem koniecznie, aby nad moją nieznajomą płakano; chciałem ją uczynić o ile można najbardziej tragiczną, interesującą, niezwykłą. Do takiego, a nie innego nastroju ducha przyczyniły mi się zapewne owe zaczerwienione oczy szwaczki, mglisty poranek i anormalność prądu, jaki mną owładnął — prądu 'twórczości — gdyż zazwyczaj byłem wesołego usposobienia.

Przesiedziałem w ten sposób godzin parę; nareszcie, nie wiem już po raz który, umoczyłem pióro i szybko nakreśliłem następujący początek:

„Ubierała się zawsze biało, nosiła białą różę we włosach i miała białego pudła“.

Odczytałem głośno ten frazes; wydał mi się bardzo efektownym.

Po chwili przecież wziąłem drugi arkusik, wykaligrafowałem powtórnie tytuł „Moja nieznajoma“, a pod spodem:

„Ubierała się zawsze czarno, nosiła skabiozę we włosach i miała czarnego pudła“.

Poczem oba te początki położyłem

przed sobą i zadumałem się po raz trzeci, który z nich wybrać? Który bardziej przemówi do wyobraźni moich czytelników? Pierwsza wersja była poetyczniejszą, druga bardziej tajemniczą.

W tem miejscu najstarsza córeczka państwa Ignaców, nad wiek rozwinięta dziewięcioletnia Józia, słuchająca z wielką uwagą opowiadania ojca, zaczęła się śmiać głośno.

Pan Ignacy zmarszczył brwi, niekontent z przerwy.

— Czego się śmiejesz, Józiu?— zapytał, patrząc surowo na swoją pociechę.

— A bo, proszę tatki, przypomniała mi się ta bajeczka, co to: osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano. Hi! hi! hi!

Pan Ignacy zwrócił się do żony.

— Zosiu! ile razy ci mówiłem, że dzieci rozmowom starszych nie powinny się przysłuchiwać? Każ im pójść spać.

Nastąpiło chwilowe zamieszanie. Skonfundowane dziewczynki odeszły ze swoją ziewającą ukradkiem francuską, a pan



Ignacy, odzyskawszy równowagę, zachwianą niefortunną cytata Józki, tak dalej mówił:

— Mijały godziny, jam wciąż się wahał. Pies miał odegrać ważną rolę w dziejach „Mojej nieznajomej”—jaką? nie zdawałem sobie z tego jeszcze sprawy—ale to mi było jasnym, że barwa jego szersci wiele tu również znaczyć będzie. Głowa mnie rozboleła, głód zaczął dokuczać. Spojrzałem na zegarek i przestraszyłem się. Pora obiadowa już mijała. Wyszedłem więc, aby się posilić. Trzeba trafi, iż pierwszą istotą żywą, jaką na trotuarze spotkałem, był: biały pudel. To mnie zdecydowało. Tak; moja nieznajoma będzie się ubierała biało, będzie nosiła białą różę we włosach, będzie miała białego pudła.

Uspokojony co do wyboru, zjadłem obiad ze smakiem. Biały kolor coraz więcej zaczynał mi się podobać; dziwiłem się, że się mógł wahać; miałem już gotowych kilka pięknych efektów bieli na tle zieleni, w wieczornym mroku i tam

dalej. Chodziło tylko o to, jak je zastosować. Ale to najmniejsza; byle się tylko rozmachać. Wracam tedy do siebie w najlepszej myśli, gdy wtem—co państwo powiecie -- naprzeciwko mnie idzie, młoda, czarno ubrana kobieta, a przy niej czarny pudel. Brakowało jej tylko skabiozy we włosach, a może i ją pod kapeluszem miała. Zdrętwiałem. Nie, to istne przeznaczenie—trudno mu się opierać! a tak mi żal było tych białych efektów!.. Wieczór zastał mnie jeszcze nad obydwoma początkami. Miałem jakieś fatalistyczne przecucie, że od dobrego wyboru zależć będzie nie tylko powodzenie „Mojej nieznajomej“, ale cała moja literacka karjera. Biedziłem się więc i wahałem, jak potępieniec. Och! te przeklęte pudle! dla czegożem ich spotkał!

Nad ranem dopiero zasnąłem. Zbudził mnie dzwonek listonosza. List był od ojca, krótki, ale znaczący: „Ciotka twoja, Miłosińska, umarła; zapisała ci Walkowice — przyjeżdżaj“. Jezus Marja! „Moja nieznajoma“, białe i czarne pudle,

skabiozy, róże w jednej chwili wywie-  
trzały mi z głowy! Tego samego dnia  
już mnie w Warszawie nie było.

Interesa poczciwej ciotki okazały się  
nadzwyczaj zagmatwane; miałem z moją  
sukcesją kłopotów co niemiara, po dwóch  
latach dopiero odetchnąłem trochę. I co  
państwo powiedzą? moja autorska wena  
przepadła bez śladu. Spłoszył ją list ojca.  
A jednak!.. gdybym się tak nie był nad  
temi nieszczęsnymi początkami wahał,  
byłbym może przez ten dzień i noc jakie  
arcydzieło napisał—i cała moja przyszłość,  
byłaby się inaczej ułożyła!

Pan Ignacy umilkł i wysączył do dna  
zimną zupełnie herbatę.

— Więc początki „Mojej nieznajo-  
mej“?— zagadnęłam.

— Są u mnie schowane — odpowie-  
dział—na wieczną rzeczy pamiątkę. Wie  
pani co?—zawołał, nagłą myślą ożywio-  
ny - gdybym je tak pani ofiarował? Coby  
też pani z niemi zrobiła?

— Ja?—odpowiedziałam z westchnie-  
niem—ach! panie Ignacy, nie gniewaj się

pan za moją szczerość. Siedziałabym nad nimi i dzień, i noc, i jeszcze jeden dzień, w nadziei, że mnie od wyboru jaki list z wiadomością o sukcesji wybawi.

Pan Ignacy nie rozgniewał się, ale był tak zgorszony tem wyznaniem, że się już mnie o moją przełomową chwilę nie pytał.



# Spóźniony kwiat.

(Obrazek)



Zieloną umbrelką przysłonięta lampa pali się na stoliku podłużnego wąskiego pokoju.

Pod ścianą stoją dwa łóżka, stykające się plecami, wysoko i starannie zasłane, naprzeciwko nich duża szafa, komoda, a na niej staroświecka toaletka z chwiejącym się pomiędzy dwoma słupkami lusterkiem. Za stolikiem niska sofka, zielonym rypsem kryta. W rogu jej siedzi mężczyzna i trzymając *Kurjera* na odległość ramienia za lampą, odczytuje go przez okulary

Twarz tego mężczyzny, a raczej tego starca, bo na sześćdziesiąt z górą lat wygląda, jest bardzo sympatyczna, smutna, z przyrosłym do niej wyrazem zadumy i tęsknoty. Ci, co go znają wiedzą, że

czy mówi, czy milczy, czy się śmieje nawet i żartuje, zawsze ta dumająca, smutna tęsknota wygląda z kątów jego ust wygolonych i z pod powiek błękitnych, przejrzystych, ale pozbawionych już blasku oczu.

Za to dzisiaj jest mu na świecie bardzo dobrze, po krwawych burzach młodości, w której nie miał ani jednej takiej chwili, co jest kwiatem i przywilejem wiosny życia, chwili samolubnego rozplynięcia się w osobistych nadziejach, w osobistem szczęściu — dobrze na krótko — bo słońce na zachodzie, choćby go żadna chmura nie zasłaniała, skryć się wnet przecież musi, a dzień jego życia już na schyłku.

Mniejsza z tem; dziś, w tej chwili jest mu dobrze.

Wiatr za oknami wieje, wiatr późnej jesieni, chłodny, przenikający i jęczy gdzieś w głębi pieca — ale to wiatr dobrze mu znany, co szumi nad grobami jego rodziców i wśród drzew, na których chłopcem swawolnym gniazda ptasie wy-



bierał i na polach, z których tyle olbrzymich, świętych wspomnień dla niego zostaje... on wszystkie te echa splecione słyszy w jego melancholijnej muzyce i sprawia mu to wielką, nieopisaną radość.

Doprawdy, gdyby ten wiatr nie huczał tak w tej chwili, może zaciśnięcie pokoju nie wydawałoby mu się tak błogą, światło lampy tak łagodnym, sofka tak wygodna, *Kurjer* tak zajmującym, a głuchy stuk kołyskowych biegunów nie wpadałby mu z taką rozkoszą do serca.

Bo jest w tym pokoju i kołyska, obrócona budką w ten sposób, by pod nią światło nie zaglądało. Natomiast oczy niemłodej kobiety, która obok w głębokim fotelu siedzi zaglądają tam często i ostrożnie, i uśmiech rozjaśnia jej twarz schorowaną, gdy szczupła, żółtawa ręka poprawia szydełkowe białe firaneczki opierając się na szafirowej satynie budki.

Patrząc na tą kobietę dałoby jej się z pięćdziesiąt parę lat, lecz znawcy niewieściego wieku przyjrząwszy jej się uważnie orzekliby, że musi być o jakie

dziesiątek lat młodszą, tylko się przedwcześnie i raptownie zestarzała.

Ślady ciężkiej i niedawno przebytej choroby aż nadto są na niej widoczne. Flanelowy szlafrok opada płasko na piersiach i ostro rysunek kolan uwydatnia. Jest chuda, ale tą chudością odrębną, obwisłą, pomarszczoną, którą wielka pełność kształtów po sobie zostawia. Snać, że ta skóra, co się w tak liczne fałdy na szyi, brodzie i policzkach ułożyła, straciła swą elastyczność skutkiem ubytku rozciągającego ją ciała. I ta twarz kobieca ma swój wybitny, charakteryzujący ją wyraz. Półcień, w jaki się zanurza, łagodzi nieco suche kontury rysów mówiących o minionej piękności tak, jak żyłki na skroniach mówią o minionych powabach cery.

Dziś to ruina, i ruina bolesna, bo ruiny bywają rozmaite. Omszały domek, co się w ziemię zwolna zasuwa i szerniałym dachem coraz niżej nad nią się zwiesza jest także ruiną, ale jakąś łagodną, spokojną. Zdaje się, że gdy w końcu za-

padnie się zupełnie, to bez hałasu, nieznacznie, rozłoży się raczej, niż rozpadnie, gruzów nawet wiele po sobie nie zostawi.

Inna rzecz patrycjuszowska willa z bluszczem zagładającym przez wyrwane okna, z jaszczurką pełzającą wzdłuż głębokiej w murze rozpadliny, z potłuczoną głową Wenery, walającą się wśród rozwalonych kolumn portyku.

I tu i tam zniszczenie; tylko że pierwsze uczy o nieuniknionym porządku rzeczy: o starości i śmierci, co biegną jak cienie za młodością i życiem; drugie opowiada o przedwczesnym upadku tego, co miało w sobie zadatki długiego bytu, o pogwałconem i zapoznanem pięknie, o walkach, nadużyciach, może zbrodniach.

Otóż twarze tych dwojga ludzi mają pewne podobieństwo z owym domkiem i ową willą. Obie są stare, zmęczone, na obu czas wypisał swoje baltazarowe zgłoski, ale na twarzy mężczyzny kreślił je wolno, głęboko, spokojnie, na twarzy kobiety szybko, gwałtownie. Wynikało to może nietylko z różnicy ich tempera-

mentów, ale i kolei, jakimi wiodły ich losy. On może znajdował szersze ujście dla swoich uczuć, więcej działał, więcej cierpiał, więcej walczył na zewnątrz; ona może wszystko w sobie tłumić musiała, w pozornej bezczynności staczać walki wewnętrzne i bunty ukryte hamować i to jej rzuciło na lica maskę cierpkiego udręczenia, głuchej niecierpliwości, goryczy nigdy niewyrzuconych z ust piołunów, maskę, którą przecież zdejmuje z niej zupełnie tkliwe, kobiece na wskrós rozradowanie opromieniające jej postać, ilekroć pochyla się nad kołyską.

W kołysce śpi dwumiesięczne dziecko; słaba, bledziuchna iskierka życia, zabłąkana pomiędzy te dwie ludzkie egzystencje: jedną wystygłą, drugą przepaloną. Co ono tu robi, z kąd się wzięło? Gdzie są jego rodzice? Zapewne młodzi i piękni poszli się gdzie zabawić, a dziadkom poruczyli opiekę nad swoją pieszczotką. Poczcivi dziadkowie! Jak on ostrożnie przewraca kartki *Kurjera*, by szelestem nie obudzić maleństwa! jak ona cierpli-

---

---

wie i delikatnie poprawia kołderkę, którą słabiuchne nóżki starają się rozkopać.

Dziecię śpi niespokojnie. Obie piąstki pomarszczone i chude podsunęło sobie pod bródkę, mizerna twarzyczka tonie w garnirunkach czepeczka, na pofałdowanem między zamkniętymi oczkami czołku leży cień cierpienia i zękania, co nań, jakby dar złej wróżki, dziedziczności, padło.

Doprawdy, rzekłbyś, że mu się coś śni i coś przykrego. Może krąży nad nim ostatni jęk matki, gdy go na świat wydawała, może pierwsza troska ojca, gdy się nad jego przyszłością zadumał. Biedne dziecko!

Mężczyzna przestaje czytać i spogląda na kobietę, która zrozumiałwszy to milczące wezwanie wstaje i na sofkę się przesiada. Choć ich słyszeć nie mogę, wiem że on pyta, czy dziecko śpi, a ona mu twierdząco odpowiada.

Teraz patrzą na siebie przez chwilę nic nie mówiąc i uśmiechają się...

Historja tych dwojga ludzi jest bardzo

prostą. Przed laty, gdy ona była młodą dziewczyną, on w kwiecie męskiego wieku, poznali się i pokochali. Potem on musiał wyjechać... ona została, czekając jego powrotu, w który wierzyła, została samotna, zbuntowana przeciw swej doli okrutnej, lecz czekająca.

I doczekała się! Trzecia już wiosna minęła jak on wrócił, siwy, pochylony, ze starganemi siłami, z trochę grosza, uciulanego wśród twardych warunków bytu. Zastał ją strawioną od tęsknoty, steraną w niewdzięcznej nauczycielskiej pracy. Podali sobie ręce i ksiądz je stulą związał.

Byli tacy, którzy podżartowywali sobie z tej pary okrągłe stulecie społeczeństwa. Co do mnie, nie należałam nigdy do ich liczby. Owszem, widok tej tyloletniej, połączeniem uwieńczonej wierności, rozrzewniał mnie i napełniał jakąś naiwną wiarą, że wcześniej, czy później, każdy z nas cząstkę swego szczęścia otrzymać tu musi.

Dopiero, gdy w półtora roku po ich

ślubie zobaczyłam pomiędzy nimi kołyskę, a w niej tę bladą, mizerną, chorowitą twarzyczkę, zrobiło mi się czegoś smutno. On był taki uszczęśliwiony, a ona, choć niemal życiem macierzyństwa swego nie przyplącała, mówiła mi, że teraz dopiero słońce w całej pełni nad nimi zaświeciło.

A przecież mnie plamą na tem słońcu jesiennem wydało się właśnie to dziecko, wątły, spóźniony kwiat ich młodości. I teraz ilekroć, jak w tej chwili naprzykład, gdy stojąc przy oknie, zapuszczam wzrok w głąb ich skromnego mieszkanca, które przez wąskie podwórze widzę jak na dłoni, myśl o tej maleńkiej istotce ściska mi serce niedobrem przecuciem. Zdaje mi się, że na tę drogę życia co się przed nią otwiera, pada już kir wczesnego sieroctwa, lub ściele się cicha ofiara młodzieńczych porywów i pragnień, składana niedołęstwu zgrzybiałej starości. A na te walki, na tę niepewną dolę jakież amulety ze sobą na świat przyniosła? Czy ten wątły jak pianka organizm,

czy te zarody rodzicielskich bólów, goryczy i zawodów, jakie zdają się drze-  
mać w jej drobnej piersi...

O! biedne dziecię! biedny, spóźniony  
kwiat...





## Treść:

Dar Helijogabala . . . . .	1
List . . . . .	89
Ta ostatnia kropla . . . . .	131
Bezimienny kwiatek (Bajka) . . . . .	163
Autentyczny Bruno (Humoreska) . . . . .	183
Co go ocaliło? (Humoreska) . . . . .	207
Spóźniony kwiat (Obrazek) . . . . .	223





## Polecamy:

**B o h o w i t y n .** Słoneczniki. Powieść współczesna z życia kobiet.

**K l e c z y Ń s k i J a n .** Ziemia Snu.

**M n i s z e k H e l e n a .** Trędowata. Powieść z życia arystokracji polskiej.

— **Ordynat Michorowski.** Dalszy ciąg powieści „Trędowata“.

**P a s z k o w s k i E d w a r d .** Podniebie. Powieść z życia młodzieży warszawskiej. (Kronika 4-go piętra).

**T e t m a j e r K .** Melancholia. Wydanie trzecie, dopełnione.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERARNICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-240 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42









10740  
F